

KAZIMIERZ WYBRANOWSKI

DZIEDZICTWO

Rozdział I.

Na stacji położonej obok powiatowego miasta, ruszało się kilku ludzi ze służby kolejowej w oczekiwaniu Północnego Expressu, który w drodze od granicy do Warszawy zatrzymał się tu dla nabrania wody. Niebo było pochmurne, szare, ostry wiatr wschodni podrywał garstki śniegu, leżącego w bruzdach zamarzniętej ziemi.

Jedyną nie należącą do służby osobą był przechodzący po peronie mężczyzna atletycznej budowy, barczysty gruby w karku, z szeroką kanciastą twarzą, z małymi, głęboko osadzonymi oczami, które tej twarzy nadawały prawie dziki wyraz. Ubrany w przyzwoite palto z futrzanym kołnierzem i w futrzaną czapkę, mógł wyglądać na świeżo wzbogaconego chama, gdyby nie powściągliwość w ruchach i skromność w wyrazie twarzy, świadcząca o tresurze.

Rozległ się gwizd lokomotywy i pociąg zwolnionym pędem zajechał na stację. Z paryskiego wagonu lekko wyskoczy wysoki, smukły mężczyzna w wykwinnie skrojonym miejskim futrze, w miękkim, grubym kapeluszu, i zaczął się rozglądać po stacji. Z młodzieńczymi jego ruchami stanowiła kontrast blada twarz, zmęczona i oczy badawcze, przenikliwe a zarazem jakieś niezwykle stare. Przyglądająca mu się służba stacyjna zawyrokowała, że jest cudzoziemcem.

Oczekujący na peronie atleta szybko podszedł ku niemu, zdjął czapkę, wyprostował się i rzekł:

- Grzegorz, służący z Turowa.

- Mamy, zdaje się jechać prosto do kościoła? - zapytał przybysz po polsku, z niedostrzegalnym prawie akcentem cudzoziemskim, a jednocześnie wbił badawcze oczy w służącego, który musiał uderzyć go swym typem niezwykłym.

- Tak jest, proszę pana - odrzekł Grzegorz i, wzięwszy z rąk konduktora dwie walizki, poprowadził gościa przez budynek stacyjny na drugą stronę.

Przy okazalej limuzynie stał szofer, chłop rośli, fizycznie dobrze rozwinięty, aczkolwiek znacznie lżejszej wagi od służącego.

- Szofer Marek - przedstawi Grzegorz i zabrał się do lokowania waliz we wnętrzu samochodu tak, żeby nie przeszkadzały podróżnemu. Ten mierzy okiem to służącego, to szofera; nie mogło też ująć jego uwagi, że obaj oni, acz ukradkiem, bacznie mu się przyglądają.

Grzegorz poprosił go, żeby zajął miejsce, oryl mu szczelnie nogi baranicą, proponował nawet wdzianie dachy, która w zamkniętym samochodzie nie była potrzebna.

- Wiatr jest mroźny - mówił - a mamy przed sobą przeszło półtorej godziny drogi.

Siadł kolo szofera i ruszyli, rozwijając znaczną szybkość pomimo niezbyt równej drogi.

Podróżny przez chwile patrzył w okna na roztaczającą się po obu stronach jednostajna, szarą równinę, po czym popadł w zadumę.

Jechał na pogrzeb człowieka, którego był synowcem, wychowawcą i spadkobiercą. Jechał prosto z Paryża, gdzie stałe mieszkał. Ze względu na spadek będzie musiał jakiś czas pozostać w Polsce, której prawie nie znał, bo od trzynastego roku życia wychowywał się, a potem pracował zagranicą. Planów żadnych tymczasem nie robił - musiał przede wszystkim zorientować się w swym nowym

położeniu. Zdawał sobie jednak sprawę z tego, że w życiu jego zachodzi przewrót - jak wielki tego jeszcze nie mógł przewidzieć.

Stryja swego widywał rzadko i znał mało; spodziewał się teraz więcej o nim dowiedzieć. Postanowił dokładnie notować sobie wszystko, co by mogło mu rzucić jakiegokolwiek światło na tę postać, pod wielu względami dotychczas dla niego niezrozumiałą. Na wstępie zwrócili jego uwagę ci oto dwaj ludzie, których wygląd świadczył, że stryj jego lubił dobierać sobie do służby atletów. Czy to było tylko upodobanie?..

Obudził się z zamyślenia, gdy szofer zaświecił reflektory. Zapadła wczesna noc zimowa, noc czarna, bezgwiezdna. Przed oczyma przesuwały się tylko silnie oświetlone pnie drzew przydrożnych. Spojrzał na zegarek, minęła już godzina jazdy. Za pół godziny pogrzeb. Znajdzie się wśród nowych, nieznanych ludzi, wobec których będzie jedynym przedstawicielem zmarłego. Prawdopodobnie będą tam sąsiedzi i niezawodnie liczni znajomi ze stolicy: stryj musiał być człowiekiem ustosunkowanym. Nie znalazł miejscowych zwyczajów i nie bardzo wiedział, jak się trzeba zachować. Na szczęście będzie tam adwokat stryja Osiecki, który zajął się pogrzebem i w obszernym telegramie do Paryża zawiadomił go, jak ma na pogrzeb zdażyć. Ten mu udzieli wszelkich potrzebnych wskazówek.

Szofer dał parokrotny przeciągły sygnał. Wreszcie po dłuższej chwili samochód stanął. Grzegorz szybko wyskoczył i, otwórzszy drzwiczki, pomógł przybyszowi wysiąść.

Panowały nieprzeniknione ciemności. Tylko o jakieś dwadzieścia kroków widać było otwarte drzwi kościelne, z których płynęła smuga słabego światła aż do samochodu. W tym świetle stał tuż przed nim ubrany w grube futro mężczyzna średniego wzrostu, dość otyły, z krótko przystrzyżonymi, jasnymi wąsami, z twarzą przeciętnie inteligentną, na której wyrażał się stosowny do chwili urzędowy smutek i powaga. Wyciągnął rękę do przybysza ze słowami:

- Jestem Osiecki. Czekaliśmy tylko na pana. Chodźmy do kościoła.

Po kilku słowach formalnego podziękowania adwokatowi za zajęcie się pogrzebem przybysz ruszył z nim do wejścia do kościoła przez szpaler chłopów i bab, zgromadzonych na cmentarzu kościelnym.

Weszli, a za nimi cisnęli się ludzie z cmentarza.

Na środku małego kościółka wiejskiego stał niewysoki katafalk, ubrany w zieleń świerkową, wśród której parę dziesiątków świec się jarzyło. Na katafalku spoczywała wielka, czarna trumna z krzyżem i obramowaniami z białej blachy, skromna trumna drewniana.

Przybysz przykląkł przed trumną, po czym stanął i zaczął rozglądać się wokoło.

Obok niego stał adwokat a za nim jakiś mały, szczupły człowieczek, siwy z krótko przystrzyżoną bródką, w okularach, z wychudłą zmęczoną twarzą. Dalej paru ludzi wyglądających na oficjalistów i służbę. Poza tym z półtorej setki chłopów, przywiedzionych prawdopodobnie ciekawością.

Wiec to tak wygląda pogrzeb stryja? - myślał przybyły z Paryża synowiec. Dlaczego taki ubogi? i czyż nie ma na świecie ludzi, którzy by mu chcieli towarzyszyć do grobu?..- Nie mógł w żaden sposób zrozumieć, co to wszystko znaczy...

Ukazał się ksiądz w czarnej kapie z organistą u boku i rozpoczął odśpiewywanie egzekwii.

Oczy garści ludzi, zgromadzonych w kościele, spoczywały na przybyszu: nie było w nich ani smutku, ani współczucia, ani nawet przejęcia się obrzędem: było tylko

zwyczajne, ordynarne zaciekawienie wobec zagranicznego dziwoląga, który na tym tle był istotnie niezwykłym zjawiskiem.

On sam w owej chwili przywoływał sobie postać zmarłego stryja, człowieka zamożnego, wykwintnego, zachowującego się wszędzie na świecie, jak u siebie, i zestawiał swe wspomnienia z tym, co widział teraz przed sobą. Jakiż kontrast! Jakże to bezdennie smutne!...

Stał, górując nad otoczeniem dużą głową, na której lśniły ciemne, gładko w tył zaczesane włosy, z wysokim i szerokim czołem, przeciętym, dwiema prostopadłymi bruzdami, z dużym prostym nosem, z suchą starannie wygoloną twarzą. Spod mocnych, prostych brwi, patrzył szarymi, głęboko osadzonymi oczami na to, co go otaczało. Oczy te były zimne, obojętne, jakby trzymały w odległości ludzi, choć nie odpędzały ich, ale raczej przykuwały do miejsca...

Adwokat Osiecki, który co chwila rzucał na niego, ukradkiem spojrzenia, mówił sobie, że takie oczy i takie cienkie zaciśnięte usta powinien mieć sędzia, ażeby sprawiać wrażenie nieubłaganej, nie kierującej się żadnym uczuciem sprawiedliwości i logiki.

Ksiądz skończył egzekwie, zaczęto odstawiać świece i świerczynę. Grzegorz i trzej inni ludzie, widocznie ze służby, wzięli trumnę na barki i ponieśli ją za księdzem.

Przed kościołem czekało sześciu ludzi z pochodniami, przy których słabym świetle pochód ruszył w drogę. Ta garstka, przedzierająca się z trumną przez ciemności nocne, sprawiała jakieś niesamowite warzenie: wyglądało to tak, jakby grzebano kogoś ukradkiem, z dala od oczu ciekawego świata.

Kościół stał na krańcu wsi, a blisko niego, tuż za wsią, leżał mały cmentarzyk. Na cmentarzu czekał dół wyrąbany w zmarłej ziemi. Ustawiono nad nim trumnę, a ksiądz cichym, jakby zdławionym głosem odśpiewał rozdzierające melodie obrzędu pogrzebowego.

Trumnę opuszczono w dół i rozległ się głuchy łoskot spadających na nią grud ziemi.

Jedyny przedstawiciel rodziny zmarłego stał nad dołem z pozornym spokojem, ale z poczuciem, że się dzieje coś sprzecznego z normalnym porządkiem rzeczy, coś nie zrozumiałego, coś nie wytłumaczonego. Naprzeciw niego stał Grzegorz. Oczy atlety, patrzące nieruchomo w przestrzeń, miały jakiś straszny, morderczy wyraz. Gdy trumnę opuszczono w dół, oczy te za nią podążyły: w jednej chwili dzika twarz zmiękła, a spod powiek popłynęły grube łzy, w których zamigotał blask pochodni. Obserwujący Grzegorza synowiec zmarłego poczuł w tej chwili dla niego wdzięczność: te łzy były jedynym uświetnieniem przygnębiającego obrzędu. Ale zachowanie się służącego nad grobem zaniepokoiło go i zwiększało zagadkę tego pogrzebu.

Mowy pogrzebowej nie było.

Przy świetle dogasających pochodni organista zdjął z księdza kapę i ściągnął komżę, gdy Osiecki podszedł do niego z synowcem zmarłego i przedstawił: „Pan Zbigniew Twardowski, nowy dziedzic Turowa, ksiądz Rybarzewski, proboszcz tutejszy i przyjaciel ś.p. stryja pańskiego”.

Uścisnęli sobie dłonie. Ksiądz ciekawie się przypatrywał nie zwykłemu wyglądowi człowiekowi, który mu ceremonialnie dziękował za smutny obrzęd.

Podszedł mały człowieczek z siwą bródką. Adwokat przedstawił go Twardowskiemu jako doktora Zemłę, który leczył zmarłego.

- Ja tylko byłem pod ręką - prostował doktor - i służyłem w razie potrzeby. Ś.p. stryj pański leczył się u największych powag europejskich. Niestety, na jego serce nie było rady. Chwała Bogu, śmierć miał lekką.

- Tak, śmierć miał lekką - rzekł ksiądz, kładąc nacisk na pierwszy wyraz zdania. Miał jakby coś dalej mówić. ale nagle urwał.

Twardowski bystro na niego spojrział. Ksiądz pod tym wzrokiem uczul widocznie potrzebę powiedzenia czegoś, ale dorzuci tylko:

- Ma już spokój...

Synowiec zmarłego obserwował dalej księdza. Był to człowiek lat pięćdziesięciu, silnej budowy. prosty w zachowaniu się, z tarza dość grubą, ale sympatyczną; w jego dużych jasnych oczach widać było pewną głębię i myśli i uczucia.

Ksiądz nagle przybrał swobodny wyraz twarzy i zaproponował wszystkim trzem, by wstąpili na plebanie rozgrzać się szklanką herbaty. Adwokat pośpieszył z odpowiedzią:

- Jak panowie wiedza, pan Twardowski przyjechał na pogrzeb prosto z Paryża, jest niezawodnie zmęczony. Ja zaś jeszcze dziś chciałbym pomówić z nim o interesach i odjechać na noc do Warszawy, gdzie od wczesnego rana mam zajęcia.

Zostawili księdza z doktorem, sami zaś wsiedli do limuzyny, czekającej przed cmentarzem. Grzegorz zajął swe miejsce przy szoferze.

Jechali w milczeniu. Twardowskiemu brzmiały jeszcze w uszach słowa księdza, w których także tkwiła zagadka, i stał mu przed oczyma ten dziwny w swym ubóstwie, rozpaczliwy w smutku pogrzeb, pogrzeb jakby skazańca. Ksiądz, adwokat, doktor. trochę służby i garstka ciekawego ludu...

Osiecki, jakby odgadując jego myśli, przerwał milczenie.

- Pogrzeb odbył się ściśle według rozkazu zmarłego: zwyczajny dół w ziemi na parafialnym cmentarzu, prosta drewniana trumna, jeden ksiądz proboszcz miejscowy, żadnych mów, żadnych zaproszeń czy zawiadomień, żadnych nekrologów, ani nawet najmniejszych wzmianek w gazetach. Jakby chciał opuścić ten świat niepostrzeżenie, nie zwracając niczyjej uwagi.

Twardowski nie odpowiedział. Szukał, jaka myśl podyktowała tę wolę... Szukał na próżno.

Szofer skręcił w wąską drogę, wysadzoną drzewami, i dał przeciągły sygnał. W świetle latarni ukazał się wysoki trzymetrowy mur z czerwonej cegły. Kiedy samochód podjeżdżał, jakieś ręce rozwierały ciężkie, z grubego drzewa, mocno okute żelazem wrota, które za samochodem wnet się zatrzasnęły.

- Dziwny rygor - rzekł do siebie Twardowski.

Zatoczywszy wielkie półkole, stanęli przed domem. Lampa elektryczna, oświetlająca z góry wejście, ukazywała wysmukłe kolumny z szarego piaskowca, tworzące zgrabny portyk.

Z otwartych drzwi wybiegł służący, który pomógł im wysiąść i wprowadziwszy do obszernego przedpokoju, zdjął z nich futra. Grzegorz znikł niepostrzeżenie.

Wnet otwartą się drzwi do wielkiego, dobrze oświetlonego hallu - dom był widocznie zbudowany po angielsku - ze schodami, prowadzącymi na górę. W ogromnym kominku paliły się z trzaskiem całe szczapy sosnowe.

Na środku stał ubrany w czarny surdut Grzegorz, trzymając w ręku tacę z bochenkiem chleba i solniczką. Skłonił się nisko w milczeniu i podał tacę Twardowskiemu, starym zwyczajem witając nowego pana chlebem i solą.

Twardowski podziękował. Kiedy stawiał tacę na stole, wzrok jego padł na stojącego przy drzwiach dużego psa, rasowego wilka, który się lekko najeżył, warcząc z cicha. Lubił widocznie psy i znał się na nich, bo stał wpatrzony w piękne zwierzę.

- Jak się nazywa? - spytał Grzegorza.

- Piorun.

- Piorun ! - powtórzył głośno Twardowski.

Pies ruszył z miejsca powoli, nieśmiało. Zbliżył się do niego, węsząc ostrożnie. Naraz zaskamlał radośnie, stanął na tylnych łapach, przednie oparł o piersi Twardowskiego i wyciągnął mordę ku jego twarzy. Gdy nowy pan zaczął go głaskać, przytulił głowę do jego piersi.

Grzegorz stał osłupiały, z otwartymi ustami.

- Nie rozumiem, proszę jaśnie pana, co się stało. Ten pies nie da do siebie dostąpić nikomu obcemu. Chyba mądry, zrozumiał, że to teraz jego pan.

Twardowski dalej głaskał psa.

- Tyś wcale nie taki mądry, jak Grzegorz myśli - śmiejąc się mówił do zwierzęcia - tylko ty masz nos. Zwęszyłeś swego prawda?...

Grzegorz kręcił głową: widocznie mówił sobie, że nowy dziedzic ma jakiś tajemniczy sposób zaprzyjaźniania się z psami. Patrzył na Twardowskiego z podziwem i trochę z obawą.

Osiecki, który się przyglądał tej scenie z boku, zauważył sceptycznie:

- Nie musi to taki być zły pies, jak Grzegorz mówi.

- Niech pan podejdzie - rzekł Twardowski.

Adwokat powoli się zbliżył. Pies nagle najeżył się, warknął groźnie i wystawił nań otwartą paszczę, w białe kły uzbrojoną. Adwokat się cofnął, a pies warknął drugi raz mocniej i chciał się rzucić za nim, gdy Twardowski krzyknął ostro:

- Piorun!

Pies natychmiast złagodniał i przypadł mu do nóg pokornie, tylko jeszcze warczał z cicha przez chwilę, zanim się całkowicie uspokoił.

- Dobry pies - rzekł Twardowski - On jest już mój.

Nachylił się nad Piorunem, głaszcząc go po karku.

Grzegorz patrzył na niego z coraz większym podziwem, adwokat zaś miał minę zmieszaną wobec niezrozumiałego zjawiska.

- Pański stryj - rzekł - był dziwny człowiek, ale pan jest jeszcze dziwniejszy.

Twardowski uśmiechnął się, rozumiejąc, że rozsądny prawnik ma go trochę za wariata.

- No, panie mecenasie - rzekł - tu, przy tym kominku będzie nam dobrze. Usiądźmy i pomówmy, zanim nam jeść dadzą.

- Obiad może być za godzinę - poinformował Grzegorz.

- Dobrze - rzekł Twardowski - Panu się bardzo spieszy!

- Chciałbym wyjechać za półtorej godziny - rzekł Osiecki - czy mógłby mi pan dać samochód do Warszawy?

To pytanie zorientowało Twardowskiego, że on tu jest gospodarzem i że to jego samochód.

Zwrócił się do Grzegorza:

- Powiedz szoferowi, żeby czekał przed domem za półtorej godziny i pospieszcie się z obiadem. A przedtem przynieś nam tu wermut.

- Słucham jaśnie pana.

Osiecki stwierdził, że dziwak z Paryża bez wahań wchodzi w rolę pana domu na wsi polskiej.

Usiedli w głębokich fotelach, wyciągając nogi ku kominkowi. Piorun ułożył się u stóp nowego pana. Już nie warczał na mecenasa, tylko spojrzeniem go zapewniał, że lepiej się nie zbliżać.

W domu panowała cisza, która zakłócał tylko trzask palącego się na kominku drzewa.

Rozdział II.

- Jak panu telegrafowałem - mówił adwokat - stryj zostawił cały majątek panu.
- Jest niezawodnie testament?
- Nie, nie ma. Wiedział kiedy umrze, i na krótko przed śmiercią wszystko zostało na pana przepisane. Oszczędza to panu kłopotów spadkobrania. Miałem też wrażenie, iż chciał, ażeby pan wszedł w posiadanie majątku bez rozgłosu.
- Dlaczego?
- Nie wiem. Wszystkie papiery znajdują się w mej kancelarii w Warszawie i są do pańskiego rozporządzenia. Spodziewam się wkrótce pana widzieć u siebie.
- W tych dniach - rzekł Twardowski - wybieram się do Warszawy.
- Majątek pański - mówił dalej Osiecki - składa się z następujących pozycji: przede wszystkim Turów. Jest to posiadłość niewielka - dwadzieścia parę włók, ale ślicznie zagospodarowana; jak pan widzi dom jest piękny; zbudowano go przed dwudziestu laty. Odległość od Warszawy samochodem niecałe dwie godziny. Następnie, dom w Warszawie, a w nim wygodnie i ładnie urządzone mieszkanie. Stryj pański mówił mi, że pan je zna, gdyż leżał pan tam ranny w czasie najazdu bolszewickiego. Wreszcie główny majątek stanowią kapitały, ulokowane wszystkie w bankach francuskich i angielskich. W przeliczeniu na naszą walutę wynoszą one około sześciu milionów złotych. Wszystko to dziś jest złożone na pańskie imię.
- Nie sądziłem, że to taka duża suma - wtrącił spadkobierca tonem prawie obojętnym.
- Stryj pański był pierwszorzędnym finansistą. Zlikwidowawszy przed siedemnastu laty swe interesy, polokował kapitały tak, że podczas wielkiej wojny nic nie stracił; a choć żył na wysoką stopę, to jednak wydawał tylko część dochodu i majątek rósł z procentów. Jest więc pan człowiekiem zamożnym, z majątkiem którego administracja nie zabierze panu wiele czasu.
- Tak - rzekł sucho Twardowski - Czy stryj nie zostawił dla mnie żadnych poleceń?
- Tylko to - odrzekł adwokat, wyciągając z kieszeni i podając mu niewielką kopertę, zapieczętowaną czerwonym lakiem.
- Twardowski przeczytał swe imię i nazwisko, wypisane ręką zmarłego stryja, obejrzał pieczęć z rodzinnym herbem i otworzył kopertę.
- W środku była tylko pożółkła kartka papieru z wypisana na maszynie wskazówka, jak otwierać kasę ogniotrwałą. Nic więcej.
- Może w kasie jest jakie pismo dla mnie? - zapytał.
- Na pewno nie ma. Przed śmiercią stryj pański pokazał mi jej zawartość: podręczną gotówką, trochę kosztowności, wreszcie klucze od szaf i szuflad.
- Z wyrazem zawodu na twarzy Twardowski zamilkł na chwilę, po czym przeszedł na inny przedmiot.
- Stryj mój miał niezawodnie duże stosunki w kraju?
- Niegdyś tak. Jeszcze niespełna dwadzieścia lat temu pan Alfred Twardowski był w Warszawie znaną i popularną osobistością. Od chwili wszakże zlikwidowania swych interesów zerwał wszelkie stosunki: nigdzie nie bywał, nikogo nie przyjmował. Proboszcz, doktor i ja byliśmy jedynymi ludźmi, których widywał u siebie.
- Czy wie pan dlaczego?
- Nie wiem.
- Kiedy pan został jego adwokatem?
- W roku 1911.
- Przedtem go pan znał? - Nie, ale wiele o nim słyszałem. Miał reputację człowieka mądrego, przedsiębiorczego, a jednocześnie bardzo honorowego.

Mówiono o nim tylko dobrze. Widocznie atoli zrobił sobie potężnych wrogów, gdyż w krótkim czasie stanowisko jego się popsuło. Jako jego adwokat mogłem stwierdzić, że nie było do tego żadnych podstaw. Wątpię, aby w świecie przemysłu i finansów można było znaleźć bardziej prawego człowieka.

- Cóż mu zarzucano?

- Do mnie nic określonego nie dochodziło. Wiedziałem tylko, że otacza go jakąś atmosfera niechęci. Może to właśnie wpłynęło na wycofanie się jego z interesów. Zresztą miał dosyć pieniędzy, a że był nieżonaty i bezdzietny, nie miał bodźca do robienia ich więcej.

Twardowski posępnie się zamyślił. Rozmowa z adwokatem utwierdziła go w przekonaniu, że w przeszłości stryja tkwiła jakaś wielka zagadka, ale mu nie dała klucza do jej rozwiązania. Ta zagadka już go zaczęła dręczyć: w ostatnich latach bardzo zbliżył się ze stryjem - tyle mu zawdzięczał. Z tą zagadką wreszcie mogło się wiązać pochodzenie majątku, który obecnie dziedziczył. Majątek to był niespodziewanie wielki. Twardowski widział w swym życiu bogaczy, posiadających fortuny, wobec których jego kilka milionów były drobiazgiem. Ale te fortuny były uwięzione w rozmaitych przedsięwzięciach i nakładały na ich właścicieli zobowiązania, które czyniły ich niewolnikami posiadanego bogactwa. Tymczasem on, człowiek o skromnych potrzebach materialnych, wolny, bez żadnych obowiązków względem kogokolwiek, dostał znaczne pieniądze, z którymi może robić, co mu się podoba. Uważał więc siebie za bogatszego od tamtych. Jego pieniądze mogą się stać wielką siłą, o ile użyje ich umiejętnie. To może być bardzo ciekawe...

Nowa myśl przemknęła mu przez głowę.

- Czy ktokolwiek poza panem wie, jaki majątek stryj pozostawił? - zapytał adwokata.

- Na pewno nikt. Wiedzieć będą, ma się rozumieć o Turowie i o domu w Warszawie. Kapitały wszakże mógł wszystkie stracić, jak wielu innych podczas wojny.

- Więc i dalej nikt nie będzie wiedział i nie będzie się ich domyślał, dobrze?

Adwokat, nieco zdziwiony, kiwnął głową na znak, że rozumie.

Wszedł Grzegorz, wnosząc na tacy wermut i wódkę z zakąskami. Osiecki napił się wódki i zabrał się do zakąsek, Twardowski poprzestał na kieliszku wermutu.

- Długo pan zabawi w Polsce? - zapytał adwokat .

- Nie robiłem jeszcze żadnych planów. Dziś myślę, że nie wrócę do Paryża, dopóki...

- Dopóki? - zapytał Osiecki - widząc, że gospodarz urwał nagle.

- Dopóki nie zorientuję się w nowym położeniu - odparł wymijająco.

Przeszli do sali jadalnej, dużej, kosztownej i ze smakiem umeblowanej. Na środku jej stał mały okrągły stół z dwoma nakryciami.

- Najlepsze świadectwo - rzekł Osiecki, wskazując na stół - że przyjęć w tym domu nie bywało.

- Jeszcze przed wielką wojną - rzekł Grzegorz - duży stół owinęliśmy słomą i wynieśli na górę.

Przez cały obiad prawie wyłącznie mówił Osiecki - o polityce, o stosunkach warszawskich, o różnicach między ludźmi dzisiejszymi a przedwojennymi. Twardowski słuchał z zainteresowaniem, od czasu do czasu wtrącając krótkie, lakoniczne zdanie. . .

Wypili kawę przy stole ze względu na pospiech adwokata.

Odprowadziwszy gościa do czekającego przed domem samochodu, Twardowski zatrzymał się w hallu i stał, grzejąc się, przy kominku, gdy podszedł do niego Grzegorz.

- Przygotowałem pokój nieboszczyka pana. Ale gdyby pan nie chciał, jest gotowy pokój gościnny.

Twardowski zauważył, że służący, zostawszy z nim sam na sam, stracił uroczystą sztywność i przestał go tytułować "jaśnie panem". Widocznie był to zwyczaj domu.

- Zamieszkać od razu w pokoju stryja - rzekł po krótkim zastanowieniu.

- Tak mi się zdawało - odrzekł służący. - Pewnie pan zmęczony i nie będzie teraz domu oglądał, może to lepiej jutro po dniu zrobić. Chciałbym tylko panu pokazać bibliotekę, gdzie nieboszczyk pan najwięcej przesiadywał i gdzie oddał Bogu ducha.

- Chodźmy.

Drzwi do biblioteki prowadziły prosto z hallu. Była to wielka sala o trzech oknach, cała zrobiona z dębu, z dębowym belkowanym pułapem. W środkowej ścianie mieścił się duży, marmurowy kominek, stary, widocznie z Włoch pochodzący, na którym także palił się suty ogień. Kilka obrazów i parę rzeźb dobrze świadczyło o znawstwie gospodarza. Poza tym ściany były zajęte przez półki, zastawione do pułapu książkami. W dwóch miejscach wprawione były szafy. Dwie zbroje stały po obu stronach kominka. W jednym końcu sali, bokiem do okna, stało drze biurko, w drugim ogromna otomana, nakryta dywanem perskim. Miękki dywan smyrneński pokrywał podłogę całej sali. Umiejętne, nie rażące oświetlenie elektrycznym pajakiem, zawieszonym po środku, i lampami umieszczonymi po bokach dawało wrażenie wielkiej powagi, a jednocześnie wykwińskiego smaku.

Grzegorz doprowadził Twardowskiego do otomany.

- Tu pan umarł - rzekł zdławionym, niemal łkającym głosem.

Twardowski bystro na niego spojrział: w oczach siłacza znów łzy świeciły.

- Jak to było? - zapytał.

- We wtorek koło trzeciej po południu pan zadzwonił na mnie. Siedział w fotelu przed kominkiem, kazał sobie trochę wcześniej przynieść lekarstwo, którego stale zażywał. Gdy wróciłem z lekarstwem - za dwie, najwyżej trzy minuty - leżał na otomanie. Podeszedłem do niego - już nie żył...

Po dłuższym milczeniu dodał:

- Rano tego dnia był ksiądz proboszcz. Pan się wyświadczył, przyjął święte Sakramenta. Widać spodziewał się śmierci.

- Powiadasz, że stryj zwykle przebywał tu, w bibliotece. Cóż robił?

- Czytał książki. A najwięcej chodził. O tak, tutaj, z końca w koniec, z końca w koniec... Z parę mil dziennie chyba wychodził. Ostatnie dwa tygodnie dużo siedział i pisał.

- Co? - zapytał żywo Twardowski.

- Nie wiem. Coś dla pana...Bo gdy skończył, włożył to wszystko w dużą kopertę, zapieczętował i powiedział: "Po mojej śmierci oddasz to panu Zbigniewowi".

- Gdzież jest ta koperta?

- Nie ma jej. W wilię śmierci zastałem go, jak siedział przy kominku, koperta była rozdarta, a papiery jeden po drugim szły w ogień. Spojrzał na mnie i powiedział tylko te słowa: „Po co mu moje kłopoty, będzie miał dosyć własnych....

Twardowski zaczął wielkimi krokami chodzić po pokoju. Co mógł zawierać ten rękopis stryja?.. Dlaczego go zniszczył?.. W szukaniu odpowiedzi na te pytania nie miał nawet od czego zacząć.

Myśli jego przewalał głos Grzegorza:

- Tak samiuteńko nieboszczyk pan chodził po pokoju.

Twardowski uczył potrzebę zostania sam na sam ze sobą.

- Ja tu trochę posiedzę - rzekł do służącego. - Zadzwoń przed pójściem spać.

- Czy mam przynieść herbatę?

Twardowski spojrział na zegarek - było pół do dziewiątej.

- Kolo dziesiątej - rzekł. - A gdzie Piorun?

- Zjadł kolację i hula teraz z psami po ogrodzie.

- To macie więcej psów?

- Jest wyżeł do polowania i cztery duże, bardzo złe psy do pilnowania domu w nocy. Chodzą z nocnym stróżem po ogrodzie.

Zauważywszy zdziwienie nowego pana, dodał:

- Okolica tu spokojna. Ale obawiamy się gości z dalszych stron.

Twardowski zaliczył sobie w myśli tę ostrożność do szeregu zagadek domu i zapytał tylko:

- To i Piorun zostaje na noc w ogrodzie?

- O, nie! Dotychczas było tak, że kolo dziewiątej wracał do domu i przychodził do pana do biblioteki. Potem szedł za panem na górę i nocował przy jego pokoju. Teraz, jak pan każe.

- Niech i teraz tak będzie.

Służący widocznie był zadowolony z tego zarządzenia. Wziął od pana kluczyki od waliz i polecenie przygotowania kąpieli.

Twardowski po jego wyjściu podszedł do okna, chcąc wyrzeć na świat. Odsunawszy wszakże firankę, stwierdził że okna są zabezpieczone ciężkimi, żelaznymi okiennicami.

Pokręcił głową i usiadł w fotelu przed kominkiem.

Teraz, gdy został sam, zaczął zastanawiać się nad nowym położeniem, w którym się znalazł.

Siedzi obecnie w swoim własnym domu - to takie dziwne dla człowieka, który zawsze i wszędzie był gościem - i to nie w przypadkowo nabytym, ale w swej rodzinnej siedzibie, w miejscu, gdzie ojciec jego spędził lata dziecięce, gdzie siedzieli jego dziadowie. A jednak nie ma wrażenia, że jest u siebie. Ten dom ma swoją duszę, nieznaną mu jeszcze, pełną zagadek. W jego atmosferze jest coś ciężkiego, przygniatającego. To dusza jego stryja, z którym nigdy nie czuł się blisko związany. Przyszła mu myśl. żeby stąd jak najprędzej uciec, uwolnić się od ciężaru, który zaczyna go przytłaczać, wrócić do pracy stanowiącej treść jego życia. Czuł wszakże, iż go tu coś zatrzymuje: czy związek z siedzibą rodzinną? czy tajemnica stryja?...Jakie wyznanie, czy oskarżenie zawierał dokument, pisany przy tym biurku, a potem rzucony w ogień?... Jakie myśli dręczyły człowieka, który się zamknął w tym pokoju i niby więzień celi, godzinami całymi chodził tam i z powrotem między czterema ścianami?...

Rozleniwiające ciepło kominka zaczęło go usypiać. Myśli się mieszały, związek między nimi się zrywał, oczy zaczęły się kleić...

Raz, dwa, trzy, cztery... Raz, dwa, trzy, cztery... Ktoś chodził po miękkim dywanie miarowymi krokami. Tam i z powrotem, tam i z powrotem. Twardowski, jeszcze w półśnie, słyszał te kroki. Raz, dwa, trzy, cztery... Czy słyszał?... Raczej czuł je w nerwach. w mózgu. Otworzył oczy - echo tych kroków jakby jeszcze się rozlegało, nie w pokoju, ale pod jego czaszką...

Światła w pokoju były pogaszone. Ogień na kominku dopalił się - tylko żarzące się jeszcze głównie rzucały blask czerwony na najbliższe przedmioty. Obejrzał się wkoło - nikogo w pokoju nie było. Bibliotekę załęgał półmrok, tylko na półkach

złoczone grzbiety książek słabo odbijały blask dogorywającego ogniska. Miał jednak niepokojące przeczucie, że nie jest sam...

U stóp swoich spostrzegł psa, który z nastawionymi uszami, jakby też zaniepokojony, patrzył w jego oczy. Rad, że ma towarzysza, Twardowski szepnął:

- Piorun!

Pies skoczył i z cichym piskiem zaczął się do niego łaścić.

W tej chwili wszedł Grzegorz niosąc herbatę.

- Przyprowadziłem tu psa po dziewiątej, ale pan spał. Więc psa zostawiłem i przekręciłem światło. Pewnie panu Piorun nie przeszkadzał?

- Nie. Widzę, że dobrze wychowany choć młody.

- Ma dopiero dwa lata. Ojciec jego zdechł parę miesięcy temu. Dobry był pies; choć stary i już niedołężny, gryzł się z młodym o służbę przy panu. Ale ten będzie jeszcze lepszy. Mojego uczenia - dodał z dumą.

Twardowski wypił filiżankę herbaty i dźwignął się z fotela.

- Czas iść spać - rzekł.

Grzegorz go poprowadzi przez sień, jak hall po polsku nazywał, po schodach na górę.

Weszli do pokoju, wyglądającego na gabinet do pracy, z biurkiem i szafami do papierów. Przy jednej z nich stała oszklona szafa, w której zobaczył kilka dubeltówek i sztucerów w towarzystwie przyborów do polowania.

- Pan się kochał w broni - objaśniał Grzegorz, widząc, że zawartość szafy zwróciła uwagę nowego dziedzica. - W tym pokoju pan zwykle siadywał rano i tu jadał pierwsze śniadanie.

Szerokie, otwarte drzwi prowadziły do następnego ciemnego pokoju. Grzegorz podszedł do drzwi, zapalił światło i wówczas Twardowski zobaczył obszerną sypialnię z dużym francuskim łóżkiem, przygotowanym dla niego.

Weszli do niej; pies im już nie towarzyszył. Twardowski obejrzał się i zobaczył Pioruna w pokoju, który opuścili, leżącego na małym dywaniku, naprzeciw drzwi sypialni.

- On już zajął swoje miejsce - rzekł służący. - Tu śpi całą noc i pilnuje pana przez otwarte drzwi. Do sypialni nie wejdzie, chyba że pan zawoła, albo że usłyszy coś podejrzanego. Wtedy podejdzie do łóżka, weźmie pana delikatnie zębami za rękę i dotąd będzie ręką ruszał. dopóki pana nie obudzi.

Twardowski pomyślał sobie, że to jeszcze jedna oryginalność tego niezwyklego domu.

Za sypialnią była garderoba, z niej wejście po jednej stronie do łazienki, z drugiej do pokoju dla służącego, który sypiał na górze. Grzegorz objaśniał:

- Dawniej ja tu sypiałem. Ale od czasu jak się ożeniłem, nocuje w swoim mieszkaniu na dole, a tu sypia młodszy służący. Antoni. Pewny i sprytny chłopak.

Gdy wrócili, Grzegorz pokazał mu przy łóżku dwa dzwonki, jeden na niego, drugi na Antoniego. Nacisnął na ostatni i za chwile zjawił się dwudziestokilkuletni chłopak, silnie zbudowany, z jasnym, prawie wesołym spojrzeniem.

Przedstawił go panu jako służącego osobistego od garderoby, sam zaś, zapytawszy, czy pan od niego jeszcze czego nie potrzebuje, powiedział "dobranoc" i wyszedł.

W pół godziny potem Zbigniew Twardowski, zmęczony długą podróżą i pogrzebem, spał już mocnym snem w łóżku stryja, w swoim obecnym domu.

Rozdział III

Zbigniew Twardowski był wielkim dziwakiem. Za takiego przynajmniej uważali go prawie wszyscy znajomi, których miał wielu zagranicą, a których w Polsce nie miał wcale. Dziwactwo jego polegało na tym, że był obojętny na interesy i na przyjemności, stanowiące treść życia innych ludzi, i że sprawy serca dla niego nie istniały. Miał lat trzydzieści pięć. a był nie fizycznie, lecz duchowo bardzo stary.

Uważano go za mózgowca i to mózgowca skoncentrowanego na jednym przedmiocie, a więc prawie maniaka.

Studiował od wielu lat psychologię z zapalem, z namiętnością; znał ją głęboko. wiedział dużo, ale nic nie pisał. Niektórzy mówili o nim, że się wykoleił, bo się zajmował dziedzinami tajemniczymi, leżącymi poza sferą nauki. Poza tym miał jedną namiętność: uciekał często w góry i wdzierał się na najwyższe szczyty: na łatwiejsze sam, na trudniejsze z przewodnikami.

Był kosmopolitą, czującym się wszędzie u siebie, z wyjątkiem kraju ojczystego, którego prawie nie znał.

W tym dziwactwie nie było bodaj jego winy. Winne były raczej okoliczności jego życia, a nade wszystko stosunki rodzinne, które sprawiły, że od trzynastego roku wyrastał poza krajem.

Ojciec jego był jednym z trzech braci, synów szlachcica, siedzącego na dwudziestokilku włókowym majątku, przy starym systemie gospodarki była to bieda, zwłaszcza, gdy rodzice postanowili dać synom wyższe wykształcenie. Toteż kiedy synowie pokończyli szkoły, majątek był już obdłużony do ostatniej możliwości. Po śmierci rodziców na Turowie osiadł najstarszy syn, usiłując ratować go nowoczesną gospodarką. Był to jednak człowiek chory, a raczej wmawiający w siebie różne choroby, hipochondryk. Nie miał energii ani do życia ani do gospodarki. Nie ożenił się, na wsi wegetował. Drugi z rzędu brat, obecnie zmarły stryj Alfred, był przeciwieństwem starszego. Był dzielny i przedsiębiorczy. Ukończył studia handlowe zagranicą i pracował kilka lat w bankach i zarządach przemysłowych w Niemczech, Belgii i Anglii, po czym osiadł w Warszawie, gdzie od razu zdobył pozycję i zaczął szybko robić majątek. Wreszcie trzeci brat, ojciec Zbigniewa, młodszy od Alfreda o cztery lata, ukończył medycynę i zaraz po wyjściu z uniwersytetu ożenił się ze starszą od siebie o parę lat nauczycielką, w której się kochał będąc studentem. Wskutek tego musiał zrezygnować z doskonalenia się w swym zawodzie, osiadł w jednym z uboższych miast powiatowych jako lekarz i tam, ciężko pracując, klepał biedę.

Oddaleni od siebie trzej bracia mało się widywali. Zwłaszcza między Alfredem a ojcem Zbigniewa stosunki były napięte. Alfred gniewał się na studenckie małżeństwo brata, uważając je za akt głupoty, a widoku żony jego nie mógł znieść, choć była miłą i zacną kobietą.

Zbigniew był jedynym dzieckiem swoich rodziców. Wychowywał się przy nich w lichej, przepętlonej Żydami mieścinie. Uchyła go matka, która sama przygotowała go do szkoły średniej. W jedenastym roku życia rodzice posłali go do Warszawy, do prywatnego gimnazjum, co ogromnie obciążało budżet skromnego lekarza. W rok potem zaczął się szereg katastrof rodzinnych. Umarł stryj z Turowa, a prawie jednocześnie spadł na chłopca straszny cios - śmierć matki. W niecały rok po matce umarł ojciec. Odrętwiały, przytępiony bólem chłopak przy łóżku umierającego ojca spotkał się po raz pierwszy ze stryjem Alfredem, o którym tylko tyle wiedział, że kupił od ojca za mamy grosz jego udział w spadku po rodzicach i że był niedobry dla jego matki.

Po pogrzebie ojca stryj zabrał go ze sobą. Chłopiec apatyczny, zobojętniały pojechał za stryjem do Warszawy, a potem do Szwajcarii, gdzie go stryj umieścił w

pensjonacie, połączonym ze szkołą dla niewielkiej liczby zamożnej młodzieży różnych narodowości. Zostawił go tam samego wśród obcych, z którymi z początku nie mógł się nawet porozumieć.

W pensjonacie otoczono go wygodami, jakich przedtem nie znał, od razu też zaciągnięto go do rozrywek i sportów, które wypełniały życie chłopców poza lekcjami, i blisko przez rok uczono prawie wyłącznie francuszczyzny, przygotowując go do brania udziału w lekcjach. Dyrektor otaczał go szczególną opieką, traktując prawie, jak syna. Wakacje spędzał z rodziną dyrektora. Pomimo to sierota, pozbawiony w krótkim czasie rodziców, wyrwany ze swego środowiska, spośród dotychczasowych kolegów, czuł się nieszczęśliwym wygnańcem, skazanym na wygnanie przez stryja. Zamknął się w sobie, zatracił dziecięcą wesołość, stał się nad wiek poważnym i nawet oschłym. Natomiast rozwijał się umysłowo bardzo szybko, uczył się pilnie, zadziwiając nauczycieli swymi postępami, a jednocześnie fizycznie mętniał w doskonałych warunkach, które dawało mu życie w pensjonacie. Największą przyjemność sprawiały mu wycieczki szkolne w góry. Rozmiłował się w nich ogromnie; podczas wakacji chodził w dwójkę z guwernerem, a potem pozwalano mu chodzić samemu ze zwykłym przewodnikiem, co lubił najwięcej.

Stryja nie widywał i listów od niego nie otrzymywał. Tylko od czasu do czasu dyrektor mu mówił, że miał list od stryja, który pytał o jego zdrowie i postępy.

Po trzech latach nareszcie przyjechał stryj - na zakończenie roku szkolnego. Zastał chłopaka szesnastoletniego, dobrze wyrosniętego, silnego, nad wiek poważnego, którego dyrektor przedstawił mu jako najlepszego ucznia w całej szkole. Brakowało mu dwóch lat do matury. Stryj go zabrał ze sobą na całe wakacje, które spędzili w Szwajcarii i północnych Włoszech, głównie nad jeziorami. Zobaczył kawałek nowego świata. Stryj był jakiś inny, nie taki, jak go poprzednio widział i jak go sobie przedstawiał. Był bardzo przyjacielski, rozpytywał go troskliwie o jego życie, o jego myśli i zamiary na przyszłość. Powiedział, że chce pójść w ślady ojca i zostać lekarzem. Stryj był z niego bardzo zadowolony, ale zaniepokoiło go to, że chłopak już zapomniał trochę mówić po polsku, że dla ściślejszego wyrażenia swoich myśli często posiłkuje się francuszczyzną, że o Polsce wie bardzo mało, że choć szkoła go wykształciła po katolicku, religijność jego jest zbyt sucha, formalna.

Skończyło się na tym, że stryj postanowił od wakacji zmienić mu szkołę. Umieścił go we Fryburgu, we francuskim liceum katolickim, i nadto znalazł tam na uniwersytecie młodego księdza Polaka, z którym zawarł umowę, że będzie spędzał z chłopcem po parę godzin dziennie, ucząc go języka ojczystego, rzeczy polskich, religii po polsku i pomagając mu w znalezieniu polskiej lektury.

Wybór okazał się dobry. Chłopak się z księdzem zaprzyjaźnił, uczył się od niego dużo. Ksiądz był inteligentny i wykształcony, a że również kochał góry, więc korzystali z każdej wolnej chwili i chodzili na wspólne wycieczki.

Teraz już widywał stryja dość często. W podróżach swoich za granicę wpadał on mniej więcej co pół roku na dzień, dwa do Fryburga. Spędzał godziny całe na rozmowach z synowcem i jego przyjacielem księdzem. Te spotkania zbliżały chłopaka ze stryjem, nie wystarczamy wszakże, żeby się do niego przywiązał.

Gdy zdał maturę, stryj przyjechał i zapytał go, czy nie zmienił swych zamiarów. Zbigniew wszakże trwał w postanowieniu oddania się medycynie. Uradzono zatem, że wstąpi na uniwersytet w Bernie. Stryj mu otworzył aż nadto wystarczający kredyt w jednym z banków berneńskich i chłopak zaczął samodzielne życie studenta.

Po roku, w lecie stryj wpadł na krótko do Berna, jakiś niespokojny; gorączkowo go wypytywał. Czy wytrwa w rozpoczętych studiach, i ucieszył się bardzo, gdy spostrzegł, że chłopak prace traktuje z wielkim zapałem. Powiedział synowcowi, że

mogą się przez długi czas nie zobaczyć i nie będą się mogli nawet listownie komunikować. Znosi się w Europie na wielką wojnę, która może potrwać wcale długo. Stryj prosił go usilnie, żeby nie przerywał studiów, cokolwiek się stanie. Złożył poważną sumę w banku berneńskim i znacznie podwyższył synowcowi kredyt, licząc się już z podrożeniem kosztów życia podczas wojny.

Wojna wybuchła. Przez cztery lata jej trwania Zbigniew stryja nie widział i listu od niego nie miał. Tylko bank stale wypłacał mu pochodzące od stryja pieniądze. Student medycyny, jak wszyscy dokoła niego, przebieg wojny śledził, z kolegami o niej ciągle rozmawiał, był raczej nią oszołomiony. Mniej mu ona niż innym przeszkadzała w studiach, w których pograżał się z coraz większym zapalem.

Wojna jeszcze ciągle trwała, gdy ukończył studia i zdał ostatnie egzaminy. Wkrótce wszakże nastąpił rozejm, i stryj niebawem zjawił się w Bernie.

Zbigniew ledwie go poznał - tak był zmieniony. Przygarbił się, krok jego stał się ociężały, wychudłą twarz przeorały zmarszczki, których przedtem na niej nie było, oczy zapadły, przygasły. Była to ruina człowieka, którego sprzed czterech lat pamiętał jako mężczyznę w pełni sił, prosto trzymającego się, sprezystego w ruchach.

Od pierwszej chwili zauważył zmianę tonu stryja w stosunku do siebie. Nie traktował go już jako opiekun pupila, ale jak starzec dorosłego mężczyznę, w którym widzi źródło siły i szuka oparcia dla siebie.

Przez długi czas nie mógł o niczym innym mówić, tylko o wojnie, mówił jak ocalony rozbitek z jakiejś wielkiej katastrofy. W oczach miał jakby wizje strasznych przeżyć.

- Chyba cudem Bożym - mówił - uratowaliśmy się od straszego nieszczęścia, może od całkowitej zguby. Tak wszystko było przygotowane, żeby nas ostatecznie zniszczyć!... Gdybyś wiedział to, co ja przed tą wojną wiedziałem, zrozumiałbyś moją zgryzotę i te twogę, w której żyłem nieustannie. I to straszne poczucie, że sami pomagamy swój grób kopać...Ocaleliśmy, a właściwie mamy wszelkie widoki ocalenia. Bo knowania przeciw nam, których źródła są bardzo głębokie i dalekie, a sieć bardzo rozgałęziona, nie ustały i długo jeszcze nie ustaną. Ale mamy już silną wiarę, że Polska nie zginie.

Zbigniew miał pojecie o stryju, jako o człowieku zimnym, spokojnym, nie przejmującym się niczym, ze zdziwieniem więc słuchał jego wynurzeń, zresztą bardzo niejasnych. Chciał lepiej zrozumieć, co stryj myśli, ale ten nagle urwał rozmowę o wojnie i zaczął go rozpytywać o jego sprawy i zamiary.

Odpowiedział, że się waha, czy pracować dalej przy uniwersytecie nad fizjologią systemu nerwowego i pójść drogą naukową, czy też wracać do kraju, zacząć się przy jakim szpitalu i przygotować się szybko do rozpoczęcia praktyki lekarskiej. Trzeba przecież zacząć na chleb zarabiać.

Tu usłyszał rzecz, która od razu wywróciła cały jego stosunek do życia.

- Zrobisz co zechcesz - rzekł stryj - nic ci nie mogę narzucać. Tylko proszę cię, idź drogą, na którą cię ciągną twoje zamiłowania i ambicje. Kwestia zarobku na chleb dla ciebie nie istnieje. Pozostało nas tylko dwóch z całej rodziny na świecie: ja, przedwcześnie bezsilny starzec, szybko zbliżający się do grobu, i ty, młodzieniec, przed którym leży całe życie. Może nie wiesz, że jestem człowiekiem zamożnym. Mój majątek właściwie dziś jest twoim, bo mnie już niewiele potrzeba. Poznałem cię tyle, iż wiem, że z niego zrobisz dobry użytek i że dokonasz w życiu czegoś poważnego. Będzie jeden Twardowski, który nie zmarnuje swych zdolności i swego życia tak, jak to zrobił twój ojciec na jeden sposób, a ja na inny. Liczysz dopiero dwadzieścia trzy lata, więc masz dużo jeszcze czasu na przygotowanie się do tego, co chcesz w życiu

zrobić. Dam ci tymczasem duży kredyt i nie będę cię pytał, jak rozporządzasz pieniędzmi - mam do ciebie zaufanie.

Zbigniew był oszołomiony. To o czym nie śmali marzyć, długie jeszcze studia, podróże, zdobycie wiedzy, poznanie świata, stawało się teraz rzeczywistością.

Wyraził wdzięczność stryjowi, którą czuł istotnie, aczkolwiek nie mógł się zdobyć na większą względem niego serdeczność. Tkwiący w jego duszy od lat dziecięcych żal do stryja za nieprzyjaźń do matki nie mógł pomimo wszystko wygasnąć.

Zaczął teraz nowe życie.

Dla prowadzenia teraz dalej studiów neurologicznych przeniósł się wkrótce do Paryża. Z początku miał zamiar iść utartą drogą do katedry uniwersyteckiej. Później wszakże powiedział sobie, że mu katedra niepotrzebna. Po co ma tracić czas na pracę profesorską, kiedy ma środki na to, żeby się całkowicie poświęcić badaniom i nawet zdobyć na własność te pomoce naukowe, które innym może dać tylko uniwersytet. Z kolei rozszerzył, a właściwie zmienił swój przedmiot studiów: od fizjologii nerwów przeszedł do psychologii, która pochłoneła go całkowicie.

Do Polski nie tęsknił. Coraz bardziej błękitniały mu wspomnienia dzieciennych lat tam przeżytych, a to, czego się dowiadywał z gazet o jej życiu w pierwszych chwilach posiadania własnego państwa, było dla niego niezrozumiałe i nie zachęcało go do powrotu. Kolegom w pracy odcinał się jak mógł, gdy sobie drwili z tego, co dzieje się w jego ojczyźnie, a już palił się wprost ze wstydu, gdy po słynnej wyprawie na Kijów przyszła haniebna rejterada wojsk polskich. Polacy wówczas byli pośmiewiskiem jego znajomych cudzoziemców.

Wtedy w ciągu jednego dnia zdecydował się na krok, który nie leżał nigdy w jego zamiarach. Poszedł do konsulatu polskiego, zameldować się jako ochotnik do wojska i pierwszym pociągiem, jakim mógł, odjechał do Warszawy. Zrobił to bez zapału, nawet ze złością, że przerywa sobie pracę: uważał, że honor mu nie pozwala siedzieć w Paryżu, gdy nieprzyjaciel zbliżał się do stolicy jego ojczyzny.

Wprost z dworca w Warszawie udał się do urzędu wojskowego i już pozostał w koszarach. W dwa tygodnie potem leżał ranny w szpitalu, dość ciężko, ale nie niebezpiecznie. Stamtąd dopiero posłał zawiadomienie do stryja o swoim pobycie w kraju. Stryj zabrał go do swego mieszkania w Warszawie i dał mu możliwie najlepszą opiekę lekarską. W kilka tygodni potem, choć nie był jeszcze całkiem wyleczony, czuł się o tyle dobrze, iż mógł wrócić do pracy. Opuścił Warszawę i znów znalazł się w Paryżu.

Z tej krótkiej wyprawy wyniósł chaos kłócących się ze sobą wrażeń: zapal, poświęcenie, bohaterstwo, niedbalstwo, niezrozumiałe nieuctwo, dziecinna próżność, co razem wdziawszy, obrażało jego suchą logikę, domagającą się we wszystkim ładu, planu i konsekwentnego wykonania. Oddalał od siebie myśl bliskiego powrotu do Polski: lepiej pracować ze skutkiem na obczyźnie i tym sposobem coś zrobić dla polskiego imienia.

W owych powojennych latach w stolicach europejskich ogromnie weszły w modę wszelkiego rodzaju seanse. Grasował powszechnie, mediumizm, spirytyzm, okultyzm... Młody psycholog był tych rzeczy ciekaw i nawet na pewien czas zanadto w nie się wciągnął, odrywając się od właściwych studiów. Gruntowne wszakże przygotowanie naukowe i ścisła logika ocaliły go od dostania się w ręce ordynarnych czy wyrafinowanych szarlatanów lub od zachwiania się w naukowym traktowaniu zjawisk. Dobrze pomęczony wrócił od tych eksperymentów do pracowni, ażeby przyjść całkowicie do siebie, żeby dobrze przemyśleć, przetrwać wszystko czego był świadkiem.

Doszedł do przekonania, że miał do czynienia z dziedziną zjawisk nie zbadanych, których zgłębianiu stoi na przeszkodzie bądź nieuctwo ludzi, co się nimi zajmują, bądź oszustwa szarlatanów, którzy z nich sobie robią źródło zarobku, bądź co najgorsze, nikczemność przebiegłych filutów, operujących nimi dla ukrytych celów.

Wtedy zrodziła się w nim namiętność dociekania w tej dziedzinie prawdy. On, człowiek niezależny, rozporządzający dużymi środkami, przygotowany naukowo, czujący w sobie duży zapas sił, będzie mógł się głębiej wdrzeć w tę krainę mroków, niż to się innym udało. Od tej chwili już miał przed sobą wytkniętą drogę, z której postanowił nie zbaczać. Wyszedł poza granice nauki urzędowej, ale z gruntu ścisłych naukowych metod nie schodził.

Spotkał się z olbrzymimi trudnościami, przede wszystkim ze strony tych, na których liczył, że mu pomogą w nowych studiach. Jedni mu na jego pytania odpowiadali niechętnie, półgębkiem - widać było, że nie chcą mówić otwarcie, że ukrywają coś, co wiedzą i myślą. Inni deklamowali szeroko o jakiejś wielkiej tajemnej wiedzy, istniejącej od tysiącleci, ale z tego, co mówili, mało treści można było wycisnąć; przy tym często dodawali, że ta wiedza dostępna jest tylko dla wybranych, dając mu do zrozumienia, że i on mógłby do nich należeć. On wszakże zbyt cenił swą niezależność. Inni wreszcie patrzyli na niego, jak na człowieka nietrzeźwego, a nawet poddawali w wątpliwość równowagę jego umysłu.

To wszystko zamiast go zniechęcić, wytwarzało coraz większą zaciętość w dochodzeniu prawdy. Robił się coraz skrytszy, coraz mniej się dzielił z kimkolwiek swymi poglądami. Poszukiwania robił sam na własną rękę; z ludźmi o swym przedmiocie rozmawiał o tyle tylko, o ile chciał z nich zręcznie coś wydobyć.

Zrozumiał rychło, że w tych badaniach trzeba sięgnąć w przeszłość i to nawet bardzo odległą. Nie chcąc zaś polegać na wiadomościach z drugiej reki pogłębił znajomość łaciny i greki, żeby być zdolnym do ścisłego rozumienia tekstów, przeszedł kurs sanskrytu, zabrał się do egiptologii i asyriologii, nawet do hebrajszczyzny.

W Londynie zetknął się z wykształconym Hindusem, który myśli jego otworzył nowe perspektywy. Zachęcony tym odbył podróż do Indii. Podczas rocznej blisko podróży odwiedził różne ogniska myśli tamtejszej, od Cejlonu do stóp Himalajów. Postanowił sobie w przyszłości tę podróż ponowić, już ze ściślejszym planem, a także odwiedzić inne kraje wschodnie.

Tak pracował w ciągu lat blisko dziesięciu. Dziesięć zaś lat to wiele czasu dla człowieka zdolnego, umiającego się uczyć, którego nic od studiów nie odciąga.

Nie nie pisał, wyników swych badań nie ogłaszał. Przygotowywał wielką pracę, którą zamierzał wydać, gdy badania należycie skompletuje. Nie miał potrzeby się śpieszyć: o żadne stanowisko się nie ubiegał, o rozgłos mu nie chodziło. Dla powodzenia jego badań wygodniej mu było pozostać w cieniu.

Pochłonięty jednym przedmiotem, zwróciwszy wszystkie siły ducha ku jednemu celowi, przez dziesięć lat pogłębił swą myśl więcej, niż niejeden poważny badacz przez całe życie, jednocześnie wykształcił zdolność obserwacji, wyostrzył zmysły, stał się niebezpieczny dla ludzi, mających coś do ukrycia. Że zaś przedmiotem jego badań był człowiek, przywykł na niego patrzeć, jak na obiekt, jak na robaka oglądanego przez szakło powiększające - bez żdźbła uczucia, niemal cynicznie. Był w stosunku do ludzi jakby wysuszonym przez życie, egoistycznym starcem.

I kobieta była w jego oczach tylko obiektem, chwilami potrzebnym i przyjemnym, poza tym o wiele mniej interesującym od mężczyzn.

Był dobrze wychowany, żył na stopie zamożnego człowieka, dzięki stryjowi nigdy mu nie brakowało pieniędzy: przy tym nazwisko jego było znane alpinistom różnych krajów, więc wciągano go wszędzie w życie towarzyskie. To zaś, że był dziwakiem, że w zachowaniu jego czuć było lekceważenie kobiet, czyniło go tylko bardziej interesującym i poszukiwanym... Niejedna kokietka robiła bohaterskie wysiłki, żeby go podbić, na co od czasu do czasu, byle nie na długo, pozwalał. Bywał dużo między ludźmi, nie tyle dla rozrywki, ile dla zbierania spostrzeżeń.

Stryj przyjeżdżał na Zachód radzić się lekarzy mniej więcej co pół roku. Widywali się wtedy, o ile Zbigniew nie bawił poza Europą. Spotkania te zbliżały ich coraz bardziej. Stryj był coraz serdeczniejszy.

Gdy mu Zbigniew po raz pierwszy powiedział o istotnym przedmiocie swoich studiów, był ogromnie zainteresowany, przygaste jego oczy zabłyszczały. Potem wypytywał ciągle, jak postępują te studia. Nie dziwił się, że dotychczas nie ma żadnego wyniku tych studiów w druku; podzielał zdanie Zbigniewa, że lepiej nic nie ogłaszać, dopóki w badaniach nie zajdzie dość daleko. Coraz więcej traktował synowca już nie jako równego sobie, ale jak autorytet, wobec którego sam czuł się bardzo skromnie. Sam wszakże szybko starzał się i z sił opadał.

Choroba serca postępowała, pomimo starań lekarzy i kilkutygodniowej co rok kuracji w miejscach kąpielowych. Ten niepokój, ten wyraz oczu człowieka jakby trapionego, jakby przed czymś uciekającego, który Zbigniew zauważył przy pierwszym spotkaniu po wielkiej wojnie, już mu pozostał. Gdy się ostatni raz widzieli, stryj żegnał się z nim wyjątkowo serdecznie: widocznie przeczuwał, że się więcej nie zobaczą...

Rozdział IV

Zbudziwszy się z głębokiego snu, przez dłuższą chwilę nie mógł się zorientować, gdzie się znajduje. Wreszcie uprzytomnił sobie przeżycia poprzedniego wieczora: bezdennie smutny pogrzeb, służącego Grzegorza, jego wygląd i zachowanie się, słowa księdza, dom zamknięty i strzeżony jak twierdza, rozmowę z adwokatem i z Grzegorzem, spalony dokument, wreszcie niesamowite wrażenie kroków w bibliotece...

Jakaż wielka zmiana w jego życiu: odziedziczył majątek i... tajemnicę. Mimo tej tajemnicy przejść nie może - musi się w nią wdrzeć. Od tylu lat już wdziera się w tajemnicę duszy ludzkiej i przywykł ich się nie bać. Te kroki stryja w bibliotece - bo to były jego kroki... Halucynacja... tak, ale przyczyna jej tkwiła nie w stanie jego duszy, zupełnie zdrowej, tylko na zewnątrz... w czymś co pozostawało po stryju w sali bibliotecznej. Już z tym zjawiskiem miał do czynienia raz w życiu. Gdzie to było?... Gdzieś na wsi w Anglii, w domu, jak mówiono, nawiedzanym przez duchy. Teraz ma własne doświadczenie...

Przypomniał sobie Pioruna. Zaświecił lampkę przy łóżku. Ze słabo oświetlonej sypialni czarny prostokąt otwartych drzwi prowadził do sąsiedniego pokoju. W tej czarnej głębi świeciły dwa zielonawe światełka - wilcze oczy.

Zawołał psa po cichu.

Piorun wpadł, skoczył przednimi łapami na łóżko i usiłował polizać go po twarzy.

- Dobry pies - mówi, głaszcząc Pioruna, a zarazem trzymając go w odległości - tyś nowy, ale pewny przyjaciół.

Spojrzał na zegarek: godzina szósta. Na dworze było ciemno. Zadzwoił na służącego. Wkrótce zjawił się Antoni, trochę zaspany.

Po upływie kwadransa cały dom już był w ruchu.

Gdy wrócił do łazienki, czekał na niego Grzegorz z filiżanką herbaty i z zapytaniem o rozkazy.

Kazał mu wezwać na jedenastą rządcę majątku i zapytać, czy proboszcz będzie o czwartej na plebanii. Teraz wyjdzie rozejrzeć się w okolicy, a po pierwszym śniadaniu obejrzy dom.

Grzegorz wybiegł zobaczyć, czy stróż nocny już psy zamknął, po czym wyprowadził go z domu. Mróz był silniejszy niż dnia poprzedniego, ale wiatr się uciszył i na niebie się przetarło. Jeszcze świeciły gwiazdy. W ich świetle biały dom, w lekkim nieprzeładowanym renesansie, sprawiał wrażenie pogodnego, dziwnie sprzeczne z wrażeniami, które nowy mieszkaniec przeżył pod jego dachem.

Do piętrowego domu przylegał z boku niższy budynek - kuchnie i mieszkania służby. Dom stał w dużym parku, który cały był otoczony wysokim murem. Za murem z jednej strony widać było niewielkie zabudowania - stajnia i wozownia dworska, jak objaśnił Grzegorz. Folwark wraz ze starym dworem, obecnym mieszkaniem rządcy, leżał o jakie tysiąc kroków. Nową rezydencję zbudowano w czystym polu na wzgórzu.

Twardowski ruszył ku zamkniętym wrotom, przy których stał domek o dwóch oknach.

- Tu mieszka stróż dzienny - objaśnił Grzegorz - Na drogę wychodzi się przez jego sionkę.

W otwartych drzwiach domku ukazał się duży, mocny chłop z gołą głową, któremu Grzegorz kazał otworzyć drzwi na zewnątrz.

Twardowski wszedł do sionki i przyglądał się, jak stróż odsuwa ciężkie, niby więzienne zasuwki. Kazał Grzegorzowi wracać do domu, sam zaś wyszedł na drogę. Za nim wymknął się Piorun i z nosem ku ziemi pobiegł naprzód, robiąc ciągle wy-cieczki na przydrożne pola, ale zawsze trzymając się w pobliżu pana i często do niego wracając.

- Ta siedziba - mówił Twardowski - jest urządzona jak blokhaus i strzeżona tak, jakby nieprzyjaciel czał się w pobliżu. Stryj widocznie kogoś obawiał się i strzegł zarówno w dzień, jak i w nocy. Tak się nikt nie strzeże od zwykłych złodziei. Jeżeli nie cierpiał na manię prześladowczą, to któż mu mógł grozić?...

Okolica była lekko falista. Dom stał na najwyższym punkcie i widok sprzed niego był rozległy. Zaczynało szarzeć. Niedaleko było widać folwark ze starym dworem, którego ściany bieleły się poprzez obnażone z liści krzewy i drzewa. Twardowski poszedł w kierunku przeciwnym, ku pobliskiemu lasowi.

Las był dobrze utrzymany. Niezbyt stare, ale równe, wszystkie jednego wieku, wysmukłe sosny; na dole czysto, gdzieniegdzie tylko krzak jałowca czerniał z oddali. Za lasem duży zagajnik, pięknie zasadzony przed jakimi dziesięć laty. Później znów kawałek lasu, wreszcie kopiec graniczny. W odległości paru kilometrów widać było wieżę kościoła i dużą wieś. Przed nią leżał ogrodzony drewnianym płotem i usiany krzyżami czworobok. Tam zakopano wczoraj stryja, a z nim jego tajemnice...

Po powrocie z przechadzki wypił kawę, po czym obejrzał dom w towarzystwie Grzegorza. Dom był dość duży, urządzone z całym nowoczesnym komfortem i bardzo czysto utrzymany. Na dole przedpokój z hallem przedzielał dom na połowę. Z hallu przez oszklone drzwi - przy których Twardowski zauważył drugie drzwi żelazne, dyskretnie w mur schowane - wychodziło się na obszerny taras kamienny, a z niego po kilku schodach do ogrodu. Jedną połowę domu od strony podjazdu zajmowała biblioteka, od strony ogrodu dwa pokoje, z których jeden umeblowany na palarnię, zaś drugi z bilardem pośrodku. W drugiej połowie, odpowiadająca bibliotece wielka

sala, pusta, nieumeblowana, od strony zaś ogrodu pokój jadalny i kredens. Z kredensu drzwi prowadziły do kuchni, pralni i mieszkań służby.

- Podczas wielkiej wojny - objaśniał Grzegorz - kiedy pan bawił w Rosji, tu mieszka sztab dywizji pruskiej. Zniszczyli strasznie dom, mnóstwo rzeczy powywozili, nawet mury podziurawili, bo ciągle czegoś szukali. Całe szczęście, że biblioteka i piwnica były w Warszawie. Po wojnie pan doprowadził dom do porządku, ale salonu już nie meblował: powiedział, że nie ma dla kogo.

Na górze połowę domu zajmował gospodarz. W drugiej było parę pokoi gościnnych i druga łazienka.

Grzegorz nalegał, żeby pan zobaczył piwnicę. Gdy ja otworzył, patrzył na niego z triumfem, jakie też na nim wrażenie zrobią zgromadzone skarby.

- Na cóż tyle wina - zawołał Twardowski - kiedy nie przyjmowano gości?

- Pan prawie wiele nie pił, doktorzy mu nie pozwalali. Ale lubił wino i znał się, jak chyba nikt na świecie. Gdy trafił na dobre, kupował, choć nie było potrzebne. Mówił, że trzeba ratować, żeby go nie wypili durnie co się na nim nie znają. Później mówił, że kupuje dla swego dziedzica.

Twardowski przypomniał sobie, jak stryj przy wspólnych obiadach zagranicą wmawiał mu, że ma zadatki na wielkiego znawcę wina. Ten epikureizm nie licował z manią prześladowczą. Nie, stryj musiał być zdrow na umyśle i musiał mieć jakiś realny powód do obaw.

- Mamy tu śliczne burgundy, bordeaux i reńskie - ciągnął Grzegorz z widoczną dumą i wskazując na półki, zastawione flaszkami i gąsiorkami różnego kształtu i rozmiarów, oraz na dwie beczułki, dodał: - a takich węgrzynów i takiej starki dziś już chyba nigdzie nie znajdzie.

Ostatnie słowa nie wywarły na Twardowskim oczekiwanego przez Grzegorza wrażenia, bo ani węgrzyna, ani starki nigdy nie próbował. Grzegorz kończył swój wykład:

- Całe szczęście, że to było podczas wojny w Warszawie, bo by pruskie chamy wszystko wypity.

Park był umiejętnie założony na sposób angielski i ładnie utrzymany. Dużo w nim było światła. Bliżej domu rosły drzewa i krzewy egzotyczne, i widoczne były ślady rabat i klombów. Brakowało stawu, na który wysokie położenie nie pozwalało.

Dookoła niewielkiego podwórka poza murem stał garaż, w nim limuzyna i otwarty samochód, niewielka wozownia z lekkim powozikiem i stajenka, w której stała para koni do powozu i dwa wierzchowce, ogier i klacz, śliczne angloaraby.

- Pan już przez ostatnie dwa lata konno nie jeździł, ale w koniach się kochał i często do nich zaglądał. Na spacer zawsze jeździł powozem.

Na podwórku ukazał się wysoki, szpakowaty mężczyzna, z niewielkim, jasnym wąsem. Zbliżył się do Twardowskiego i przedstawił się jako rządca majątku Dąbrowski. Sprawiał poważne i miłe wrażenie.

Zaprzężono konie do powozu i Twardowski z rządcą pojechali obejrzeć gospodarstwo, które, jak słusznie twierdził Osiecki, było prowadzone wzorowo. Nowy dziedzic wszedł na chwilę do mieszkania rządcy, poznał jego żonę i z nieznanym sobie dotychczas wzruszeniem oglądał stary, drewniany dwór, w którym się ojciec jego urodził i wychował.

Gdy wrócił do domu, Grzegorz przedstawił ogrodnika i resztę służby domowej z kucharzem na czele. Gdy przyszła kolej na nocnego stróża, Twardowski go zapytał, gdzie jego psy, i dowiedział się, że mają mieszkanie, ogrodzone murem, na końcu parku, bo pan nie lubił, żeby trzymano psy na łańcuchu. Wreszcie zjawił się wyżeł, Wyga, bacznie przyglądając się nowemu panu.

- Ślicznie wystawia kuropatwy - rzekł Grzegorz - pan go bardzo lubił.
Wyżeł zamerdał ogonem i patrzył uważnie to na Grzegorza, to na nowego pana, jakby badał, czy na serio mowa o kuropatwach.

Twardowski go pogłaskał.

- Teraz nie, mój Wyga, ale pójdziemy którego dnia ustrzelić zająca.

- Mamy tu i kozy w lesie, a czasem i dziki się pokazują - poinformował Grzegorz.

Poznawszy posiadłość, nowy dziedzic zjadł śniadanie i kazał sobie podać kawę do biblioteki.

Po butelkach należy się trochę uwagi książkom - rzekł do siebie.

Pobieżnie rzucał po półkach wprawnym okiem. Było dużo cennych, starych druków, przeważnie polskich, a dalej mnóstwo książek z najrozmaitszych dziedzin - obok polskiego w kilku językach zachodniej Europy i w rosyjskim. Przeważała historia, były wszakże wszystkie dziedziny, interesujące inteligentnego, wykształconego człowieka; było dużo podróży i cała wielka poezja świata. Twardowskiego zdziwiła względnie duża ilość książek bardzo nierównej wartości z dziedziny, którą on sam się zajmował: hipnotyzm, sugestia, telepatia, dalej spirytyzm, okultyzm, nawet magia. Czyżby stryj to wszystko czytał?...

Przed czwarta kazał założyć konie i pojechał do księdza. Bawiła go jazda końmi, której tak rzadko używał.

Ksiądz przyjął go bardzo przyjaźnie i poczęstował białą kawą ze smacznym chlebem wiejskim i wybornym masłem. Przepraszał za skromne przyjęcie:

- Pan zagranicą do takich prostych rzeczy nie przyzwyczajony.

Dowiedział się od księdza, że już blisko od dziesięciu lat siedzi na swej parafii.

- Lepiej pewnie ksiądz znał mego stryja, niż ja sam, bo podobno byli panowie w przyjaźni.

- W przyjaźni - to może za dużo powiedziane - odrzekł ksiądz. - Jestem skromny, prosty człowiek, on zaś był pan z wielkiego świata, który dużo widział, wielkimi sprawami się zajmował. Ale był mi bardzo życzliwy i wieleśmy ze sobą gadali.

- Więc miałem słuszność, że ksiądz go znał dobrze?

- Od strony moralnej, proszę pana. Jestem księdzem - to moja wiedza i moja praktyka.

- Jak to praktyka?

- My, księża, mamy konfesjonał, w którym ciągle studiujemy dusze ludzkie. Prawda, tu, na wsi, są dusze przeważnie bardzo proste, nieskomplikowane, ale i tu człowiek, poważnie pojmujący swój obowiązek, ma możliwość się wykształcić. I tu stoją przed nim często bardzo trudne zagadnienia.

Twardowskiego zaczął ten proboszcz interesować.

- Stryj mój był człowiekiem religijnym?

- Tak, byłem jego spowiednikiem.

- Powiedział ksiądz, że studiuje ludzi od strony moralnej. Co by ksiądz w tym względzie o moim stryju powiedział?

- Ksiądz spojrzał bystro na swego inkwizytora.

- Powiem panu tylko to, że trudno chyba spotkać człowieka tak szlachetnego, z tak głębokim sumieniem. I tak ofiarnego. Ile ja dobrego ludziom zrobiłem za jego pieniądze! Nie odmawiał nigdy, tylko zabraniał mówić, że grosz pochodzi od niego. Mam nawet wyrzuty sumienia, bo ludzie mnie są wdzięczni, zamiast jemu; nikt z nich nie wie, że to on był ich dobroczyńcą.

Twardowski doznał wielkiej ulgi.

- Doszedł do dużego majątku - wtrącił.
 - Tak, ale uczciwie, swoją pracą, swoim rozumem - ksiądz mówił z namiętnością - iluż to ma majątki, a drobnej ofiary z nich wydobyć nie sposób. Jak można patrzeć na tyle biedy bez poczucia, że się cośkolwiek robi, by jej ulżyć! W tym człowieku biło wielkie serce. Jaka szkoda, że mu życie tak nieszczęśliwie poszło.
 - Mówi ksiądz: nieszczęśliwie. W czym to nieszczęście ksiądz widział?
 Ksiądz na chwilę zamilkł.
 - Wie pan przecież, że od wielu lat był chory na serce. Wycofał się z życia, z pracy... I ta choroba go zabiła.
 - Więc ksiądz sądzi, że stryj wycofa się z życia z powodu choroby?
 - Z czegoż by innego?..
 - Ksiądz chyba zauważył, że stryj czego się bał. Dowód choćby w tym, jak jego dom był strzeżony. Wygląda oto wprost na jakąś manię prześladowczą.
 - O, nie! Ś.p. stryj pański był człowiekiem umysłowo zdrowym, najnormalniejszym w świecie. Tylko był bardzo nerwowy.
 - Gdzież więc leżało źródło jego obaw?
 Ksiądz patrzył mu długo w oczy. Wreszcie rzekł po cichu:
 - Nie wiem.

Twardowski umocnił się w przekonaniu, że w życiu stryja była jakaś tajemnica, ale też i upewnił się, że nie było to nic, rzucającego cień na jego uczciwość. Gdyby było inaczej, ksiądz nie mówiłby o jego zacności z takim zapałem. Stryj był ofiarą jakiegoś nieszczęścia, czy też miał jakichś potężnych wrogów. Ale któż to mógł być?... Może ksiądz wie, ale wie, jako spowiednik, i nie powie.

- Stryj musiał tu mieć trochę stosunków w okolicy?
 - Żadnych. Jednego doktora lubił i często na dłużej go u siebie zatrzymywał. Czasami bywaliśmy w Turowie razem.

- A sąsiedztwo?
 Ksiądz wzruszył ramionami.
 - Oni go nie interesowali, byli dla niego nudni. Nawet nienajgorsi ludzie, ale, jak mówił, bezduszeni. Gadają tylko o interesach swoich i o kłopotach. Niektórzy okazali względem niego nietakt, wścibiali zanadto nos w jego sprawy, potem robili głupie plotki. Bardzo też rychło postanowił nikogo z nich nie widywać.

Żegnając się z księdzem, Twardowski rzekł:
 - Odziedziczyłem majątek stryja, a więc i jego obowiązki, tak jak je pojmował. Proszę księdza zawsze się zwracać do mnie, jak do niego, o pomoc dla biednych. I na tych samych warunkach: niech nie wiedza, od kogo to pochodzi.

Uradowany ksiądz mocno dłoń jego ucisnął.
 Twardowski musiał dzień wypełnić. Wróciwszy od księdza, siadł w limuzynę i pojechał do miasta, do doktora Zemły. Zastał go w domu w godzinie, w której kończył przyjmowanie chorych.

Doktor unosił się nad szlachetnością i wysoką inteligencją zmarłego, wychwalał go jako gorącego Polaka, stwierdził, że jedyna jego choroba tkwiła w sercu, bo nerwowość, jaka u niego widział, nie przekraczała granic, notowanych dość często.

Gdy rozmowa zeszała na niewytłumaczone obawy stryja, rzekł:
 - Miał jakichś nieprzyjaciół, którzy widocznie nie przebierali w środkach. Nie chciał wszakże nigdy o tym mówić. Często się nad tym zastanawiałem, ale do niczego nie doszedłem. Tyle jest łajdactwa na świecie!... Człowiek na zapadłej prowincji nawet w dziesiątej części nie wyobraża sobie tego, co się dzieje w wielkim świecie.

Wracając do domu, Twardowski powiedział sobie, że jedyna nadzieja w Grzegorzu. On coś wie. Tylko czy będzie chciał powiedzieć?...

Po obiedzie usiadł przed kominkiem w bibliotece i służącego, który przyniósł mu kawę, zatrzymał:

- Powiedz mi, Grzegorzu, przed kim wy tak domu strzeżecie? Nie przed złodziejami, bo zamykacie się tak samo w dzień, jak w nocy. Kogo pan się tak obawiał? Twarz Grzegorza przybrała wyraz podobny do tego, jaki miała, gdy stał nad grobem pana. Odrzekł krótko:

- Tych łotrów, którzy go zamordowali.

- Jak to zamordowali?

- Proszę pana, nieboszczyk pan był piękny mężczyzna, silny, zdrowy, wesół, nic mu nie brakowało. Dopiero, gdy go zaczęli ścigać, stracił humor, spokój, zaczął chudnąć, więdnąć, aż w końcu wpędzili go do grobu. Mój Boże, takiego dobrego człowieka, który na pewno nikomu krzywdy nie zrobił. I nie ma na nich kary. Ja tylko się modlę co dzień do Pana Boga, żeby dał którego z nich w moje ręce. Nikogo w życiu nie zabiłem, ale ten żyw nie wyjdzie.

Patrząc na atletę, na którego grubej twarzy malowała się dzika wściekłość, wolno było wierzyć, że słowa by dotrzymał. Twardowski wszakże tylko myślał, jak dalej pokierować rozmową, żeby się czegoś dowiedzieć.

- Ty ich nie dostaniesz - rzekł. - Musimy we dwóch wziąć się do tego. Oczy Grzegorza zaświeciły.

- O, gdyby pan chciał ich znaleźć, to pan może. Ja, prosty człowiek, nie wiem gdzie się obrócić. Ale gdy przyjdzie czas załatwić się, wtedy ja się przydam.

Twardowskiego mrowie przeszło. Przed nim stał morderca w spojrzeniu, w wyrazie twarzy, w postawie, w mięśniach napiętych, jak do tygrysięgo skoku.

- Bardzo byleś przywiązany do pana?

- Jak ja nie miałem być przywiązany? Wziął mnie do służby ciemnego nędzarza, zrobił ze mnie człowieka, obchodził się ze mną jak przyjaciel, a gdy się ożeniłem, obdarzył mnie gruntem. Ja dziś jestem zamożnym gospodarzem.

- Dlaczego jeszcze służysz?

- Bo nieboszczyk pan powiedział mi przed śmiercią, żeby młodego pana nie opuszczać, dopóki będzie mnie potrzebował.

Twardowski czuł, że się coraz mocniej przywiązuje do pamięci stryja. Zaczynał podzielać nienawiść Grzegorza do jego nieznanych prześladowców.

- Dobrze. Weźmiemy się tedy razem do szukania tych łotrów. Czy znałeś którego z nich?

- Widziałem dwóch. Nawet wiem, że jeden się nazywa Kalmar, czy coś podobnego.

- Kolmar?

- Zdaje się, że tak.

- Gdzieś ich widział?

- Tu, w Turowie.

- Dawno?

- Z par1) miesięcy po wojnie bolszewickiej.

- Jak to było?

- Jednego rana, koło dziesiątej, zajechał przed dom samochód. Wsiadło dwóch mężczyzn. Jeden z nich, starszy, kazał zameldować, że pan Kolmar przyjechał. Poszedłem do pana na górę, widziałem, że gniew go zdjął, gdy to nazwisko usłyszał. Kazał ich wpuścić do sieni - tak Grzegorz hall nazywał - i zaczął się szybko ubierać. Powiedział mi, że pójdzie z nimi do biblioteki; mnie zaś kazał

stanca przy samych drzwiach i na zawołanie wpaść bez pukania. Tak się też stało: pan zeszedł na dół, przywitał się z nimi bez podania ręki i zamknęli się w bibliotece; ja zaś przy drzwiach stanąłem. Nie upłynęły trzy pacierze, gdy usłyszałem krótki krzyk. Wpadam do biblioteki i co widzę? Pan leży na dywanie twarzą ku ziemi, na nim siedzi młodszy z nich i próbuje mu związać na plecach ręce, a starszy, ten niby Kolmar, stoi przed otwartą szufladą biurka i grzebie w papierach. Skoczyłem, dzieliłem pięścią w łeb tego co na panu siedział, tak, że się od razu zwałił i stracił przytomność. Zwracam się ku drugiemu, a on stoi z browningiem na mnie wycelowanym. Dałem w mordę i browning odebrałem. Pan tymczasem wstał z ziemi i wyjął sobie z ust chustkę, bo był zakneblowany. „Zwiąż no - mówi do mnie - tego, co leży na ziemi”, sam zaś wyjął swój browning z kieszeni, wycelował do drugiego i powiada: „Siadaj no, Kolmar, w tym fotelu”. Ten posłuchał i usiadł. Tak trwało krótką chwilę, dopóki nie związałem tamtego łobuza, który ciągle był nieprzytomny. Gdy skończyłem, pan wskazał na Kolmara i powiada: "Powyjmuj mu wszystko z kieszeni". Stał z browningiem, póki nie wypróżniłem kieszeni tego łajdaka i nie ułożyłem wszystkiego na biurku. Wtedy kazał mi go trzymać i sam zaczął przeglądać wyjęte papiery. Parę sztuk zabrał, włożył do biurka i zamknął na klucz, resztę kazał mu na powrót powkładać do kieszeni. Gdy się to skończyło, kazał mi rozwiązać tamtego, który już otworzył oczy i postawić go na nogi. Kazał wstać i Kolmarowi, a mnie wziąć jednego i drugiego za kołnierz i prowadzić przez sień i przedpokój do samochodu. Sam szedł przed nami i drzwi otwierał. Wrzuciłem ich jak tłumoki do samochodu, za nimi wrzuciliśmy ich łachy. Przed zamknięciem drzwiczek pan rzekł do mnie przy nich: "Jeżeli się tu jeszcze raz pokażą, skręcisz im karki. A teraz jazda!". Ja bym i wtedy skręcił karki, gdyby pan pozwolił. Dopiero wtedy, proszę pana, zrozumiałem, dlaczego nieboszczyk pan Placie za mnie w Warszawie lekcje boksu. To pożyteczna nauka. Pan wiedział co robi.

Twardowski słuchał opowiadania Grzegorza spokojnie, jakby właśnie oczekiwał czegoś podobnego.

- Jak ten Kolmar wygląda?

- Brunet średniego wzrostu, dosyć tęgi, z długimi włosami w tył zaczesanymi, z krótko przystrzyżoną brodą. Oczy miał jak dwa węgle. Krótko mówiąc, Żyd. Ten drugi nie wyglądał na Żyda, choć też ciemny; był wyższy i wcale silny; miał krótko strzyżone wąsy. Gęba z kryminału. Widziałem, że to tylko pomocnik. Toteż miałem ochotę głównie na Kolmara.

- Czy pan po ich odjeździe mówił co o tej sprawie?

- Nie. Tylko mnie pochwalił, że wpadł w porę i ruszał się szybko.

- Nic już potem o nich nie słyszałeś? - Nic. - Trudno - będziemy próbowali ich znaleźć.

Grzegorz patrzył na niego z bezgranicznym zaufaniem, niemal z tkliwością. Twardowski spojrział na zegarek - było pół do dziesiątej.

- Cóż to Piorun się nie pokazuje?

- Zagadałem się i zapomniałem o nim. Zaraz go przyprowadzę.

Za chwilę wpadł pies i zaczął skakać do pana, póki ten go nie popieścił. Potem położył się u stóp jego.

Twardowski usiadł w głębokim fotelu i pograżył się w myślach. Tym razem nie zasnął. Ale gdy ogień na kominku zaczął dogasać, znów mu się wydało, że ktoś chodzi po pokoju. Raz, dwa, trzy, cztery... Raz, dwa, trzy, cztery...

- Ciągle mieszkasz w tym pokoju i ciągle niepokój cię trawi - rzekł do siebie po cichu.

Spostrzegł się, że zaczyna być nietrzeźwy, i śmiał się z siebie przez chwilę. Zaczął sam chodzić po pokoju z końca w koniec.

Tak go zastał Grzegorz, gdy wszedł z herbatą. Popatrzył na nowego pana i powiedział sobie, że jest podobniejszy do dawnego, niż mu się z początku zdawało.

Po herbacie Twardowski poszedł na górę, rozebrał się, włożył szlafrok i odprowadził służbę, siadł w gabinecie stryja przy biurku. Wziął arkusz papieru i zaczął na nim rzucać pojedyncze wyrazy lub krótkie zdania, z których nikt by nic nie zrozumiał. Tak siedział blisko do północy...

Wreszcie wstał z powziętą decyzją. Trzeba zostać na pewien czas w Polsce i zagadkę rozwiązać. Przedtem wszakże wpadnie na krótko do Paryża i Londynu, swoje sprawy tam na dłużej ureguluje oraz zabierze potrzebne mu do pracy notatki i książki. Jutro jeszcze spędzi w Turowie, przejrzy papiery po stryju, pojutrze zaś pojedzie do Warszawy i stamtąd za granicę.

Tu przypomniała mu się kasa ogniotrwała, do której jeszcze nie zaglądał. Znajdowała się ona w sypialni, wprawiona w mur, niewidoczna. Może tam się znajdzie jakiś przyczynk do stryjowskiej tajemnicy?...

Odszukał kartkę, pozostawioną mu przez stryja, przeczytał ją uważnie i podszedł do starej makaty, zawieszanej na ścianie. Odchylił ją, znalazł zamek i zaczął układać podaną na kartce kombinacje. Po dłuższej chwili otworzyły się ciężkie drzwi stalowe. Na górze leżały paczki banknotów polskich i amerykańskich, razem pewnie z kilkadziesiąt tysięcy złotych. Obok nich poustawiane były w stosiki suwereny angielskie oraz pięć i dziesięciodolarówki amerykańskie na taką samą mniej więcej sumę. Przy nich leżało trochę kosztowności, między innymi sygnet Twardowskich. Na dole leżał szereg kluczy większych i mniejszych z kartkami, oznaczającymi, do czego służą. Więcej nic.

Twardowski zamknął kasę, odszukał swą książkę, którą w drodze zaczął czytać, i pogłaskawszy na dobranoc leżącego na swym dywaniku Pioruna, położył się do łóżka.

Może w Warszawie dowie się kto to jest Kolmar. Tylko nikogo nie trzeba pytać.

Rozdział V

Cały dzień prawie zajęło Twardowskiemu przeglądanie papierów stryja. Znalazł je w doskonałym porządku, co go zmartwiło. Wiedział z góry, że znajdzie w nich tylko to, co zmarły chciał zostawić, że nie zawieruszył się tam ani jeden świstek, z punktu widzenia stryja niepotrzebny. Przyczynków do rozwiązania męczącej go zagadki nie można było oczekiwać. Nie mniej przeto znalazł wiele rzeczy, które go zainteresowały i które postanowił później przestudiować.

Były tam stare papiery rodzinne Twardowskich. Osobno - te jedynie w pewnym nieładzie - schowane były wszelkiego rodzaju dokumenty, listy, notatki, pozostałe po ojcu Zbigniewa. Znalazł tam nawet swoje cenzurki szkolne. Główną część tego archiwum stanowiły papiery osobiste stryja, przeważnie dotyczące spraw przemysłowych i handlowych, którymi się zmarły zajmował swego czasu. Wyglądało to tak, że można było na ich podstawie całą jego działalność odtworzyć. Był wreszcie cały szereg rękopiśmiennych referatów, memoriałów w kwestiach przemysłowych i handlowych, a obok tego i w politycznych, co bardzo Zbigniewa zdziwiło. Ostatnie nosiły daty sprzed roku 1911, najdalej z początku 14 - go. Z czasów późniejszych nic poza korespondencją z bankami, w których miał złożone kapitały, i poza papierami dotyczącymi Turowa.

Grzegorz połączył się telefonicznie z mieszkaniem warszawskim, którym

opiekował się służący Michał i jego żona, i kazał je przygotować na dzień jutrzejszy dla swego pana.

Nazajutrz Twardowski wsiadł w limuzynę i pojechał do Warszawy.

Po przyjeździe kazał sobie zaraz podać spis abonentów telefonicznych i szukał w nich Kolmara. Spotkał go zawód - nazwiska tego nie było. Może już nie żyje

- pomyślał ze swego rodzaju żalem. Potem zadzwonił do Osieckiego i zamówił się do niego na dzień następny. Z wolnej reszty popołudnia i z wieczora skorzystał, żeby się przyjrzeć Warszawie, której prawie nie znał. Zrobiła na nim przykre wrażenie: za wiele biedy, za wiele hałasu i brudu, nieharmonijna mieszanina Wschodu z Zachodem.

Z adwokatem rozmawiał tylko o interesach, wziął od niego dokumenty, które mu były potrzebne i wystawił plenipotence, powierzając mu prowadzenie spraw swoich. Zawiadomił go o swoim zamiarze zamieszkania na pewien czas w kraju i o natychmiastowym wyjeździe na krótki czas do Paryża. Po powrocie zjawi się u niego z prośbą, żeby na początek zechciał być jego mentorem na gruncie warszawskim.

Następnego dnia siedział już w pociągu paryskim.

Zastanawiał się nad ciekawym zjawiskiem psychicznym, które go od dawna interesowało i według niego nie było tak proste, jakby się to mogło zdawać. Była to zależność myśli ludzkiej od miejsca, w którym się znajduje. Dopóki pociąg mknął ku granicy, przetrwał wrażenia warszawskie. myślał o pogrzebie stryja, o Turowie, o księdzu, o Grzegorzu, nawet o psie Piorunie. Za Poznaniem wszakże, a zwłaszcza za granicą niemiecką wszystko to niebieszczało, traciło kontury, tonęło jakby we mgle, a za to coraz natrętniej narzucały się jego myśli sprawy, które ją pochłaniały przed śmiercią stryja, jego zajęcia, rzeczy, które postanowił był sobie zrobić w najbliższym czasie, ludzie którzy mu do tego byli potrzebni. Za granicą belgijską myśl jego żyła już całkiem w Paryżu, w tamtejszych stosunkach, wśród tamtejszych ludzi... I sam już teraz był człowiekiem mniej podobnym do tego, który siedział w Turowie i rozmawiał z Grzegorzem.

Na Gare du Nord czekał na niego uśmiechnięty Laurent, jego służący od sześciu lat, pracowity i pewny podczas długich podróży Twardowskiego. Kiedy mieszka-

nie pozostawało pod jego opieką. Miał on przygotowany samochód, którym, zawiózł pana do jego milej garsoniery w pobliżu Trocadero.

Laurent ze smutkiem się dowiedział, że "monsieur" zabawi w Paryżu tylko trzy tygodnie, w ciągu których zrobi kilkudniową wycieczkę do Londynu, a potem na nieokreślony czas pojedzie do Polski. Pocieszyło go podwyższenie pensji za czuwanie w dalszym ciągu nad mieszkaniem. Domyślił się, że pan teraz, po śmierci stryja, musi być bardzo bogaty i wyraził gotowość pojechania z nim do Polski.

Otrzymał odpowiedź, że potrzebny jest w Paryżu, w którym pan nie ma zamiaru nigdy zwijać mieszkania. Tymczasem przypadła mu praca pakowania rzeczy, papierów i części książek. Była to praca trudna, bo o każdą niemal rzecz trzeba było pytać, czy zostaje, czy idzie do kufrów.

Trzy tygodnie upłynęły niemal niepostrzeżenie. Ze zwykłą sobie systematycznością i umiejętnością zużytkowania czasu Twardowski wszystko załatwił, o niczym nie zapomniawszy, widział wszystkich ludzi, których zobaczyć sobie postanowił. Nie stało się w tym czasie nic godnego uwagi. Tylko, kiedy pod koniec pobytu za granicą wracał z Londynu do Paryża, zdarzyło mu się coś, co mu dało dużo do myślenia.

Po wylądowaniu w Calais zajął zarezerwowane miejsce w pulmanowskim wagonie i zaczytał się w książce, którą świeżo był kupił w Londynie. Od czasu do czasu, jak to było jego zwyczajem, robił ołówkiem notatki na włożonej w książkę kartce papieru.

Naraz wpadły mu w ucho słowa:

- Look here, Kolmar...

Twardowski drgnął nieznacznie. Kolmar! Nazwisko podane mu przez Grzegorza. Podniósł oczy od książki i spojrzał w stronę, skąd go te słowa doleciały.

Po drugiej stronie przejścia, przy sąsiednim stoliku siedzieli mężczyźni, ze sposobu noszenia się i z ubrania najklasyczniejsi Anglicy, z rysów wszakże, gdy im się przyjrzał, niewątpliwie Żydzi. Prowadzili rozmowę przyciszonym głosem, ale widoczne było, że się kłócili. To sprawiało, że jeden lub drugi od czasu do czasu głos podnosił. Natychmiast wszakże się spostrzegał i zniżał głos prawie do szeptu. Obaj byli młodzi: ten którego sąsiad nazwał Kolmarem by poniżej trzydziestki.

Twardowski spuścił oczy na książkę, udawał, że czyta i notuje, ale próbował słuchać. Dochodziły go tylko pojedyncze wyrazy. Wśród nich często powtarzał się wyraz "Tugela", czasami "Tugela River"...

- Coś mówią o południowej Afryce - rzekł do siebie.

Zrezygnował już z dowiedzenia się, o czym mówią ci dwaj jegomości, z których jeden nazywał się Kolmarem, gdy naraz głosy ich się podniosły. Tym razem mówili... po polsku. Widocznie sprzykrzyło im się kłócić półgłosem, nie odpowiadającym napięciu ich namiętności, więc zdecydowali się głos podnieść; żeby ich wszakże nie podsłuchano, przeszli na język egzotyczny, mało znany na Zachodzie. Wszak nikt w sąsiedztwie, nie wyglądał na Polaka, a najmniej ze wszystkich ten pan zaczytany i robiący sobie notatki z książki. Kolmar mówił po polsku wcale czysto i swego towarzysza, mówiącego z angielska, nazywał bądź Jamesem, bądź Stuartem.

- James Stuart! - rzekł do siebie w duchu Twardowski - jak sobie pozwolić na nazwisko, to już na dobre...

Słyszał teraz, co mówili, i zorientował się od pierwszej chwili, że mówią rzeczy interesujące. Miał biegłość w robieniu notatek, miał nawet własny system stenografii. Zaczął tedy spisywać całą rozmowę. Zapisał kilka kartek, których zapas miał zawsze pod bokiem. Robił to zaglądając ciągle do książki, niby z niej przepisując.

Zachował się jak najordynarniejszy wywiadowca policyjny, uspokajał wszakże sumienie tym, że mając tropić łotrów, którzy według słów Grzegorza zamordowali jego stryja, nie może się bawić w skrupuły.

Dwaj jego współtowarzysze znikli mu na peronie w Paryżu. On zaś, przyjechawszy do swej garsoniery, notatki schował do biurka i przebrawszy się wyszedł na miasto. Wieczorem miał obiad w restauracji, na który zaprosił jednego ze znajomych. Rano był zajęty. Dopiero po południu mógł zabrać się do przepisywania zanotowanej w wagonie rozmowy. Przepisał ją porządnie na maszynie. Potem uważnie ją odczytał.

Rozmowa toczyła się między dwoma nieznanymi mu osobami, w nieznaney, całkiem obcej mu sprawie; a jednak prawie był pewny, że mu się ona przyda w walce z nieznanymi wrogami stryja.

Wynikało z niej, że Żyd, starszy wiekiem, mogący mieć pod czterdziestkę, który nazywał się Stuartem i dla niewprawnego oka mógł nawet wyglądać na Szkota, był promotorem i prezesem towarzystwa kopalni złota "Tugela River Gold Co". Towarzystwo to było, jak wiele podobnych, zwykłym szwindlem. Nadto szwindel był

nieudany, bo ludzie nauczyli się już w tych rzeczach ostrożności: na udziałowców udało się połapać tylko pewną ilość drobnych rybek. Tymczasem z upadłością trzeba się śpieszyć, zrobić ją przed najbliższym terminem wypłacania dywidendy. Kolmar, który był jednym z cichych agentów Stuarta do napędzania udziałowców, nic nie upolował, za co mu tamten robił gorzkie wyrzuty. Obecnie wszakże Kolmar miał złapać grubszą rybę, jakiegoś bogatego szlachcica polskiego, żądał wszakże niesłychanie wysokiej prowizji. Stuart mu wykladał, że to się nie da rachunkowo przeprowadzić, zapewniał, że on nie myśli dla korzyści Kolmara siedzieć w więzieniu.

Rozmowa rozwijała się dalej w następujących terminach:

Kolmar - Ty i tak będziesz musiał zwijać się z Anglii, bo inaczej cię zamkną.

Stuart - Dokąd pojedę?

Kolmar - Człowiek z twoją głową może zrobić dużą karierę w Sowietach. Stamtąd cię nie wydadzą.

Stuart - Tylko na miejscu rozstrzelają. Dziękuję. Zresztą, żeby długo nie gadać, moje ostatnie słowo: podzielimy się *fifty - fifty*.

Kolmar - Nie mogę. To przecie moje własne pieniądze.

Stuart - Jak to twoje własne? Czyś ty zwariował?

Kolmar - Moje własne. Jeżeli dasz mi słowo, że będziesz trzymał język za zębami, to ci powiem, dlaczego...

Stuart - No?

Kolmar - Słowo?

Stuart - Słowo.

Kolmar - Ten szlachcic ma córkę: dziewczyna ef - ef, ja się do niej palę; przy tym, jak się ma taką kobietę, to jest co pokazać. Można robić interesy. On więcej dzieci nie ma; jak ja się z nią ożenię, to i tak jego majątek będzie mój. Wiec jak on straci na "*Tugela River*", to ja tracę.

Stuart - Dlaczego go w to pakujesz?

Kolmar - Bo póki ojciec ma majątek, ona za mnie nie wyjdzie. Najpierw muszę starego zrobić bankrutem; mój tata kupi jego majątek dla mnie - to bardzo piękna posiadłość. Jak ona nic nie będzie miała, a ja będę miał ich majątek, to wtedy interes zrobiony: ona zostanie panią Kolmar.

Stuart - To jest na ciebie za mądry interes. To ci się nie uda. Ty zrobisz coś takiego, co popsuje całą kombinację. Jeszcze nie wiadomo, czy ten szlachcic pójdzie na "*Tugela River*".

Kolmar - Thomer pisze, że on już poszedł.

Stuart - Słuchaj, czy ty nie mógłbyś pamiętać, że to nie jest teraz Thomer, ale sir Joseph Turner.

Kolmar - Przepraszam, to tak z przyzwyczajenia. Kiedy ty będziesz sir James Stuart?... A może ty zechcesz od razu zostać pretendentem do tronu szkockiego?...

Stuart - *Don't be a Jool*. Z tobą nie można rozmawiać na serio o biznesie. Więc dlaczego powiadasz, że ten szlachcic już gotów? Jak on się nazywa?

Kolmer - Dowiesz się, gdy dojdiesz ze mną do zgody.

Stuart - Sir Joseph mi powie.

Kolmer - Nie powie, bo on trzyma z moim tatą.

Stuart - Więc dokładnie, jak się ten interes przedstawia.

Kolmer - Widzisz, on posiada ładny majątek, ale dosyca obdłużony. Teraz, gdy zboże tanie, on nie ma wcale dochodu: wszystko zabierają procenty i podatki. To mu się sprzykrzy. Wiec myśli majątek sprzedać i rzucić się w jaki wielki interes. On uważa, że ma głowę do interesów, a jest idiotą. Nie wierzy w polskie interesy i chce coś zrobić za granicą. W zeszłym roku poznał się przez mego tatę z sir Josephem.

Ogromnie się zaprzyjaźnili, bo mu imponuje szlachcic angielski, jednocześnie człowiek znający się na wielkich interesach. Nie domyśla się nawet, że to jego dawny kompatriota (obaj wybuchnęli śmiechem). Otóż teraz naznaczył sobie *rendez-vous* z sir Josephem w Paryżu, żeby się jego poradzić. Jest tam już od tygodnia. Sir Joseph wskazał mu "Tugela River", jako najszybszy sposób zrobienia wielkich pieniędzy i szlachcic strasznie się zapalił. Sir Joseph mu powiedział, że ty będziesz w tym czasie w Paryżu, i on czeka na ciebie. Ty musisz zrobić minę niechętną: udziałów już niewiele, wolałbyś, żeby zostały w Anglii. Dopiero, gdy bardzo będą prosili, zrobisz to dla takiego znakomitego człowieka, jak sir Joseph, że zgodzisz się szlachcica do interesu wpuścić.

Stuart - On przecie nie ma gotówki?

Kolmar - Nic nie szkodzi. Zgodzisz się poczekać. On poleci do Polski sprzedawać majątek. Teraz, przy braku gotówki, nikt nie kupuje, a jak kto kupuje, to grubo

poniżej wartości. Będzie mu się śpieszyło, więc tata zrobi mu grzeczność, jako przyjacielowi, i majątek kupi. Szlachcic będzie miał gotówkę za parę tygodni.

Stuart - To może być.

Kolmar - To będzie na pewno. Tylko pamiętaj, w Paryżu ja nie istnieję, nie znamy się, nigdy o mnie nie słyszałeś.

Dalsza rozmowa była znów targowaniem się o podział łupu. Nie była ona dokończona, gdyż pociąg stanął w Paryżu.

Twardowski, odczytując sobie ten protokół powoli, widział całą sprawę jak na dłoni i uplastyczniał sobie role poszczególnych aktorów: James Stuart, sir Joseph Turner alias Żyd Thorner, młody Kolmar, czy może raczej Kulmer, jak sądzić należało z brzmienia nazwiska, wreszcie jego ojciec - kto wie, czy nie największy z tych wszystkich łotrów, mieszkający w Polsce. Ostatni jedynie naprawdę go interesował. Wiele przemawiało za tym, że jest to właśnie osobistość, za którą Grzegorz tak tęsknił.

Schował do teki oryginalny dokument: był pewien, że dochodzenia przeszłości stryja zmusza go do trudnej walki i przypuszczał, że w tej walce protokół z rozmowy w wagonie może się okazać bardzo przydatną bronią.

Nasunęła mu się myśl, że gdyby wiedział, kto jest owym szlachcicem, upatrzonym na ofiarę przez oszustów, mógłby go ostrzec. Z drugiej zaś strony, nawykły do roli obojętnego obserwatora, miał wstręt do mieszania się w cudze sprawy. Świat się nie zawali od tego, że jeden więcej głupiec da się okraść łotrom. To takie zwykle...

Wprawdzie zajęcie się tajemnicą stryja musi go wyprowadzić z roli obserwatora; ale to co innego: to sprawa bardzo mu bliska, ponieważ jest jego własną sprawą. A kto wie, czy dla jego celów w tej sprawie nie lepiej, żeby się to planowane oszustwo udało. Może to doprowadzić do wydobycia na wierzch owego tajemniczego Kolmara czy Kulmera...

Po paru dniach opuścił Paryż.

Pojechał prosto do Turowa, raz dlatego, że chciał się w nowej siedzibie urządzić, rzeczy swoje w domu rozlokować, po wtóre, że miał nadzieję czegoś jeszcze na miejscu się dowiedzieć.

Rozdział VI

W pokojach na górze zastał już miejsce dla siebie uprzątnięte. Rzeczy stryja

poukładano w kufry i przeniesiono do jednego z pustych pokoi, papiery zniesiono na dół, do biblioteki. Połowę tedy górnego pietra miał całkowicie dla siebie i tam postanowił rozłożyć się ze swymi książkami i pracą, w bibliotece zaś studiować papiery stryja. Miał jakby poczucie, że biblioteka jeszcze do stryja należy.

Porządkując w Paryżu notatki i rękopisy, wciągnął się z powrotem myślą w swą pracę, przerwana w bardzo interesującym momencie i w drodze powrotnej obmyślał sobie, jak ją dalej będzie prowadził w Turowie. Zabrał ze sobą wszystkie potrzebne materialny i był przekonany, że w ciszy wiejskiej szybko posunie ją naprzód.

Ale gdy wyskoczył z wagonu na stacji i ujrzał kanciaste oblicze czekającego na niego Grzegorza, wszelkie myśli naukowe pierzchły mu, z głowy i pozostał w niej tylko Turów ze swą tajemnicą. Zrozumiał, że dopóki tajemnica ta będzie nad nim wisiała, o skupieniu się w pracy naukowej nie ma mowy. Gdy zaś stanął przed wieczorem w domu, odczuł przytłaczająca jego atmosferę: dom ten miał swą duszę, która nad nim panowała, nim rządziła, zmuszała go do ześrodkowania myśli na sprawach zmarłego stryja. Chcąc o nich zapomnieć, trzeba by stąd uciec. Taka zaś ucieczka byłaby podłą dezercją.

Dlatego wieczorem, po obiedzie nie poszedł do siebie na górę, ale zamknął się, jak sobie mówił, ze stryjem w bibliotece.

Wysłał przed obiadem listy do księdza i do doktora z zaproszeniem na wieczór dnia następnego. Może z nich jeszcze co wyciągnie.., Teraz siedział sam i w myśli zestawiał wszystko, co widział, czego się dowiedział, usiłując dojść do jakichś wniosków, a przynajmniej do przypuszczeń, które by mogły stanowić punkt wyjścia dla dalszych poszukiwań.

Jedynie zaczepienie widział w nazwisku Kolmar. Teraz już wiedział, że taki człowiek na pewno istnieje i, co jest ważniejsze, że jest wierutnym łotrem. Trzeba będzie po przyjeździe do Warszawy zająć się jego odszukaniem.

Trudno, trzeba się zabawić w detektywa. Nie będzie to dla niego nowością, bo jego badania psychologiczne nieraz go do tej roli zmuszały.

Nie poszedł spać dopóki nie usłyszał kroków stryja w bibliotece. Stało się to już jego potrzebą; miał poczucie, że tym sposobem zbliża się ze zmarłym, wnika w jego duchową istotę. Czekał z napiętymi nerwami...

Raz. dwa, trzy, cztery...

Zjawisko powtarzało się widocznie co wieczór, regularnie o tej samej porze. To musi być odbicie jednej chwili, jakiegoś jednego wyjątkowo silnego przeżycia. Tym razem bacznie obserwował zachowanie się Pioruna. Pies podniósł głowę, nastawił uszy i niespokojnie patrzył w oczy nowemu panu. Widocznie i zwierzę coś odczuwało. Najlepszy dowód, że źródło halucynacji leży na zewnątrz - w tym pokoju, Jakiż to fakt wybitny, potwierdzający jego poglądy w tej dziedzinie, jednocześnie świadczący o potężnym dramacie, rozegranym w duszy człowieka, który tu zamieszkiwali...

Twardowski widział w życiu tyle zjawisk, uważanych za nadnaturalne, tak się z nimi otrząsał. że choć w tym wypadku zjawisko dotyczyło świeżo zmarłego człowieka, który mu był bliski, a po śmierci stawał się coraz bliższy, nie przestał być spokojnym, przedmiotowym obserwatorem, nie zatracił zdolności logicznego myślenia. Warunki wychowania. a przede wszystkim studia w tak trudnej, tak niebezpiecznej dla równowagi umysłu dziedzinie zrobiły go człowiekiem aż prawie do nienormalności panującym nad sobą. Człowiek przeciętny w tym wypadku nie zrozumiałby go, może by nawet nabral do niego obrzydzenia.

Raz, dwa, trzy, cztery... Jakie to wyraźne, jak ten rytm kroków wbija się w duszę, nastrojając ją na dziwny tragizm. Jest w tym coś strasznie przygniatającego...

Tak z całym spokojem Twardowski analizował swoje wrażenia.

Służący przyniósł herbatę.

- Wiesz. Grzegorz - rzekł Twardowski - zdaje się, że wpadł na trop twojego Kolmara.

Sikacz zadrżał. Podniecony czekał, co więcej usłyszy.

- Jeżeli to ten, o którym słyszałem. to łotr nie lada.

- Łotr?.. - krzyknął Grzegorz - to na pewno ten. Widział go pan?

- Jeszcze nie. Ale już wiem, że jest taki, że mieszka w Warszawie i że jest wielkim oszustem. Mam nadzieję, że go wkrótce odnajdę.

Grzegorz rzucił się do reki Twardowskiemu i gorąco ją ucałował.

- Proszę pana - błagał - niech mnie pan zabierze ze sobą do Warszawy.

Twardowski ze zdziwieniem patrzył na rozgorączkowanego atletę. Uśmiechnął się przyjaźnie.

- Tak ci pilno odnowić z nim znajomość?.. Nie trzeba się niecierpliwić. Jeśli chcemy się do niego dobra, musimy postępować ostrożnie i ze spokojem, żeby nam się ptaszek nie wymknął. Możesz na mnie liczyć: gdy przyjdzie czas, pojedziesz do Warszawy i zobaczysz swego starego przyjaciela.

Grzegorz roześmiał się - od tego śmiechu Twardowskiemu ciarki przeszły po skórze.

Widział przed sobą nie służącego, ale towarzysza wyprawy, pewnego, odważnego i silnego, mogącego jednak sprawiać kłopot swa niecierpliwością i zbyt prostym, niezawodnie, pojęciem sposobów walki. Rozumiał, że Grzegorzowi należy się udział w tej walce i nie wątpił, że przypadnie mu w niej jakaś rola.

Pogawędzili jeszcze pół godziny, po czym Twardowski, przypomniawszy sobie, że spędził przeszło dobę w podróży, poszedł na górę.

W nocy spadł niewielki śnieg i Twardowskiemu, gdy wstawszy wyrzął przez okno, świat się ukazał w nowej postaci. Nie pamiętał już, kiedy ostatni raz widział tak wielką białą przestrzeń.

- Dobry ranek na polowanie - zauważył Grzegorz, gdy zjawił się w jego pokoju.

Twardowskiemu myśl ta trafiła do przekonania. Za godzinę był już w polu z dubeltówką pod pachą i z Wygą, węszącym ślady zajęcze. Kilkustopniowy mróz przyjemnie szczypał go po twarzy...

Chociaż nigdy polowania w tych warunkach, w tym klimacie nie używał, nie miał wrażenia nowości; przeciwnie. miał jakby poczucie, że nie pierwszy raz tego doświadcza, że to coś zwykłego, z czym jest zżyty, że tego mu właśnie brakowało.

Wciągał pełną piersią ostre, mroźne powietrze, rozkoszowali się nim, poił oczy widokiem białej równiny i czarno - białego boru. Cieszyło go, że się rozumie z Wygą, który mu się wydał najmilszym towarzyszem. Przestał filozofować.

Wrócił do domu dopiero po paru godzinach, dumny, że przyniósł dwa zające.

Przebijając się spojrzał w lustro i zdziwił się: oczy patrzyły jakoś jaśniej, twarz była mniej skupiona, swobodniejsza, wyglądał na swojego młodszego brata... Cóż to za magiczny wpływ paru godzin spędzonych na powietrzu!...

Przypomniał sobie swoje wycieczki alpejskie. Odświeżały go, rozwijały w nim siły fizyczne, budziły nawet polot duchowy - ale to było co innego. Tu miał poczucie, że znalazł coś, czego mu brakowało: takie poczucie musi mieć roślina, gdy po suszy deszcz spadnie, ryba, gdy ja z powrotem rzuca do wody, pojmane zwierzę, gdy z niewoli ucieknie do lasu, góral, gdy z miasta wróci w swoje góry. Tak, to jest

przyroda, w której wyrosła jego rasa, a od której on się oderwał. Dlatego zetknięcie z nią sprawiło mu taka rozkosz...

Po raz pierwszy poczuł swój fizyczny związek z tą ziemią, jakieś pierwotne, żywiołowe do niej przywiązanie, jakaś potrzebę zbliżenia się do niej, choćby kosztem wyrzeczenia się innych wartości; choćby miał nawet zgłupieć... Nie dość jest myśleć - trzeba żyć; nie dość radować się odkryciami - trzeba używać życia, trzeba się rozkoszować tym, co ono daje! A pierwszym warunkiem rozkoszy dla każdej istoty jest znalezienie się w swoim żywiole...

Była to reakcja człowieka młodego, żyjącego życiem zbyt jednostronnym, które go zrobiło przedwcześnie starym, bunt uśpionych instynktów, domagających się zaspokojenia. Chwilowo zapędził się w tej reakcji daleko i niebawem cofnął się, ale już sztuczna równowaga jego duszy została naruszona. Już zaczął się w tej duszy proces, który czasami doprowadza do wielkich przewrotów wewnętrznych, często kończy się utonięciem w kwietyzmie, wyrzeczeniem się wyższych wzlotów. Czuł, że jemu to nie grozi.

Wieczorem przyjechali na obiad proboszcz i doktor.

Ksiądz był bardzo ożywiony, rozmowny, prawie wesoły, Twardowski wszakże zbyt wprawnym był obserwatorem, ażeby się nie zorientować, skąd to przychodzi. Zbyt ksiądz indagował w sprawie stryja przy pierwszych odwiedzinach i tym go spłoszył. Ksiądz niezawodnie wiele wiedział, tylko nie chciał, czy nie mógł powiedzieć. Otrzymałszy teraz zaproszenie na wieczór do Turowa, obawiał się dalszej indagacji i postanowił się opancerzyć. Można się było bronić milczeniem, ale to widocznie uznał za mniej dogodny; zresztą, jako człowiek towarzyski, nie chciał popsuć wieczoru. Wołał się wtedy uzbroić w nastrój pogodny, w rozmowność i zagadując gospodarza. uniemożliwić mu prowadzenie śledztwa.

Widząc to, Twardowski postanowił wejść w ton ksiądz, być równie swobodnym, łatwym, Po rannym polowaniu czuł się nawet w tym kierunku trochę usposobiony. Powiedział sobie, że zacząwszy od przyrody, trzeba się zbliżyć z ludźmi w niej żyjącymi, pograć się na chwile w miejscowym środowisku.

Kazał Grzegorzowi Ac do obiadu dobre trunki, ażeby ułatwić rozwiązanie języków.

Zaczęto od poważnej wiekiem starki, której gospodarz z gośćmi wypili po parę kieliszków.

- No, niech pan powie, - zagadnął ksiądz wesoło - czy tam zagranicą mają taką dobrą wódkę?

- Piję ją po raz pierwszy w życiu - odrzekł gospodarz. - Przyznaje, że jest to jedna z najszlachetniejszych wódek, jakie kosztowałem.

- Widzi pan, że i Polska ma dobre rzeczy, - żartował sobie ksiądz z cudzoziemskiego gospodarza - a zaręczam panu, że znajdzie pan tu i dobrych ludzi.

- Ale łajdaków o wiele więcej - wtrącił doktor. - Strasznie ludzie po wojnie spodleli.

- Oj, panie doktorze - odparł ksiądz z wyrzutem - jest pan pocziwym człowiekiem, ale strasznie zgryźliwym. Na starość robi się z pana mizantrop. To chyba dlatego, że ma pan takie ciężkie życie, że dla chleba musi się pan tak grzebać w brudach żydowskich. Zawsze panu współczułem. Nie ma pan słuszności: ludzie nie są tacy źli, tylko są głupi. Tak jak ja wiedzę, grzeszą oni o wiele więcej z głupoty, niż ze złości. Przyglądając się im, czytając w gazetach o tym, co się tam na szerszym świecie dzieje, widzę na każdym kroku ciemnotę, niezdolność zrozumienia, co w zżyciu więcej warte, a co mniej, dziecinną próżność i pochodzące z niej fałszywe ambicje. Ustawiają sobie domki z kart, a gdy te się rozsypują, złością się, zwalają

winę na innych i mszczą się na nich za swoją własną głupotę. Dzieci, panie, dzieci! Więcej rozumu, więcej dojrzałości, a dużo mniej będzie zła w Polsce.

Twardowski przyglądał się księdzu, który, jego zdaniem, z niezwykłą prostotą mówił mądre rzeczy. Niewątpliwie był to człowiek, który dużo przemyślał i w sercu miał wiele miejsca na dobre uczucia dla ludzi. Widział w nim wielką kulturę przy bardzo prostych formach. Szedł od niego jakiś orzeźwiający powiew, jak od tych pól, przysypanych czystym, białym śniegiem.

Ksiądz tymczasem starał się, żeby rozmowa się nie urwała. Przeszedł na politykę, zaczął mówić o osobistościach głośnych w publicznym życiu, ilustrując nimi swe poglądy. Mówił z humorem często z niewinnymi drwinami, a zawsze dochodził do wniosku, że ma do czynienia z głupotą, nie zaś ze złością.

- Ten, panie, udaje gorszego, niż jest, żeby pod pozorami złości ukryć swoją głupotę.

Twardowski uśmieł się szczerze.

- Nie wiedziałem, że ksiądz taki złośliwy. Ale doprawdy, zdaje mi się, że ma słuszność. To wszystko, co mówi jest bardzo mądre. Myślę, że najlepiej wyjdę, gdy od księdza będę się uczył rozumieć życie tutejsze.

- Wolne żarty - ksiądz zaśmiał się - tam, w Warszawie, znajdzie pan mędrców, którzy by mnie prostaka, w kozi róg zapędzili.

Pod koniec obiadu Grzegorz wniósł czarną, omszałą butelkę i nalał w kieliszki starego węgryna.

- Zdrowie gospodarza! - zawołał ksiądz wesoło i umoczył usta w kieliszku.

Na jego twarzy rozlała się pełna respektu powaga.

- No, panie doktorze - rzekł - teraz się pan rozchmurzy. Jeżeli pan to wino będzie pił z melancholią, stracę dla pana wszelki szacunek. Jak to dobrze, że pan Bóg dał ludziom takie wino i że go dał mało.

Twardowski; który pierwszy raz w życiu pił starego węgryna, godził się z księdzem w wysokiej opinii o trunku.

- Ale dlaczego dobrze, te mało? - zapytał.

- Bo tym wyżej je człowiek ceni, im rzadziej mu się zdarza z nim spotkać; po wtóre zaś, gdyby go było dużo, wszyscy bylibyśmy pijakami.

Jakoś i doktor zaczął się rozweselać.

- Takie wino nie może szkodzić nikomu, przeciwnie, dodaje zdrowia! - zawołał z entuzjazmem.

- Brawo! - odpowiedział ksiądz i zwrócił się do gospodarza:

- I tu pan widzi, że Polska ma dobre rzeczy.

- Ależ to wino węgierskie.

- Niech pan je spróbuje na Węgrzech znaleźć. Tyko u nas umieją starego węgryna w piwnicach wychować: *Cracoviae et Varsoviae educatum*, mówi się od dawien dawna.

Rozmowa popłynęła dalej tak, jakby siedzący przy stole trzej ludzie żadnych trosk nie mieli.

Grzegorz niepostrzeżenie odkorkował drugą butelkę. Ksiądz, który od początku mierzył okiem zawartość naczynia, z pozornym przerażeniem zawołał: - Co, druga flaszka... Ależ nie wrócimy do domu na własnych nogach. Ha, trudno, odkorkowana, trzeba wypić.

Pili dalej. Proboszcz wpadł w coraz większą werwę, co zauważywszy Grzegorz podał kawę i dyskretnie się usunął.

Gdy zostali sami, ksiądz zaczął po przyjacielsku atakować gospodarza: - *In vino veritas*, więc niech się pan naprawdę nie gniewa. Od początku przyglądam się

panu i dziwię. Pan patrzy takimi starymi oczyma, jakby pan co najmniej dwieście lat chodził po świecie. Musiał pan strasznie dużo myśleć i musi być pan ogromnie mądry. Dlatego ja, prostak, nie mogę pana rozgryźć. Ale się boję tych starych oczu: zdaje mi się, że człowiek, który takimi oczyma patrzy na świat, wszystko widzi, wszystko rozumie i... na wszystko jest obojętny. A obojętność to wielkie nieszczęście i wielki grzech.

- Nieszczęście i grzech zarazem? - zapytał Twardowski, zdziwiony tematem, nad którym się nigdy nie zastanawiał.

Ksiądz mówił już teraz całkiem poważnie, zapalając się coraz bardziej.

- Tak, panie. Nieszczęście, bo dla człowieka obojętnego życie traci wartość, nie umie on skorzystać z tego, co daje ono najlepszego. Grzech, bo Pan Bóg postawił człowieka na ziemi po to żeby w miarę swych sił uczciwy porządek na niej zaprowadzał, żeby usuwał i naprawiał zło, a tworzył dobro. Wiedza, mądrość - to wielkie rzeczy, ale dopiero wtedy, gdy promieniają, gdy zapładniają inne umysły, by w końcu znaleźć odbicie w dobrym czynie. Patrzeć, rozumieć, widzieć przyczyny wszystkiego i coraz bardziej oddalać się od świata, od ludzi, żeby ich w lepszej perspektywie oglądać - do czego to wszystko prowadzi?.. - Pan siedzi tu przy mnie, a ja mam wrażenie, że pan patrzy na mnie z jakiejś wielkiej odległości. To straszne... Mnie się zdaje, iż to skutek tego, że pan siedział zawsze wśród obcych, którzy pana nic nie obchodzili, w krajach, z którymi nic pana nie wiązało, nawet wśród przyrody, obcej potrzebom pańskiej istoty. Intelpekt pański się rozrastał, ale co się dzieje z innymi władzami pańskiej duszy?..

Twardowski skoczy.

- Księżę, czy wiesz, że ja o tym samym dziś rano myślałem?..

Tu ksiądz osłupiał.

- Jak to? Z jakiego powodu?

- Wyszedłem w pole z dubeltówką i gdy wciągnąłem w płuca to ostre zimowe powietrze polskie, poczułem się jakoś w swoim Wywiolu i tak się rozkoszowałem, jak nigdy w życiu. I wtedy powiedziałem sobie, że trzeba się z tą rodzimą przyrodą zbliżyć choćbym miał zgłupieć.

- Chwała Bogu - zawołał ksiądz - nie jest pan stracony. Niechże pan na początek choć z dubeltówką częściej chodzi.

Spojrzał na trzeciego towarzysza.

- Masz tobie - rzekł - teraz, gdy człowiek chciałby naprawdę coś mądrego powiedzieć, doktorowi oczy się kleją. Biedak, za wiele pracuje - należy mu się odpoczynek.

Doktor nie miał sił oponować.

- Trzeba jechać - mówił ksiądz - i na mnie czas, jest już po do dwunastej. Doktora najlepiej tu na miejscu do łóżka położyć - on ma dalej do domu.

Wstali. Twardowski poczuł, że ma lekką głowę, ale nogi ciężkie. Przypisał to nie przyzwyczajeniu do węgierskiego wina.

- Musimy rychło dokończyć tej rozmowy - zwrócił się do księdza - będę czekał tego niecierpliwie. Albo się pokłóć z księdzem, albo sobie przyjaźń zaprzysiężemy.

- Klócić się można i w przyjaźni - odrzekł ksiądz i mocno potrasnął ręką gospodarza.

Po odejściu księdza i po odprowadzeniu doktora do jego pokoju Twardowski poszedł z Grzegorzem i z Piorunem do siebie.

- Wiesz, Grzegorzu - mówił - że ten proboszcz to mądry i tęgi człowiek.

- Ze świecą takiego drugiego szukać, proszę pana.

Grzegorz, nie budząc Antoniego, pomógł Twardowskiemu się rozebrać.

Tego wieczoru nowy dziedzic Turowa zasnął z jakimś nieznanym, błogim uczuciem. Śniło mu się, że się znajduje pośrodku bezbrzeżnej białej równiny; oddycha pełną piersią i upaja się powietrzem, które wprowadza rozkoszny bezwład w jego ciało; posuwa się naprzód, kołysząc się na prawo i na lewo, a ksiądz go podtrzymuje, żeby nie upadł.

Rozdział VII

Twardowski jechał do Warszawy z planem wejścia między ludzi, zapoznania się z życiem polskim, a zarazem odszukania Kolmera bez zwracania uwagi na swoje zainteresowania tą osobistością.

Z Turowa jednak wywiózł trochę nowych wiadomości o stryju. Z przejrzania papierów zmarłego odtworzył sobie mniej więcej jego dawniejszą rolę w życiu przemysłowym, a nawet w części jego poglądy polityczne w przeddzień wybuchu wojny światowej. Nazajutrz po wieczorze, spędzonym w towarzystwie księdza i doktora, miał przy śniadaniu długą rozmowę z doktorem, który u niego nocował.

Doktor znał Turów jeszcze za życia drugiego stryja. Tamten ciągle się leczył na urojone przeważnie choroby i często doktora wzywał. Gdy po jego śmierci majątek przeszedł w ręce stryja Alfreda, nowy właściciel wziął od razu zdolnego i energicznego rządcę, porobił wielkie wkłady i postawił gospodarstwo na pierwszorzędnej stopie. Z początku sam rzadko do Turowa dojeżdżał. W parę lat wszakże zaczął budować dom dla siebie, z dala od folwarku, wybrałszy miejsce najładniejsze i najzdrowsze. Sąsiedzi nad tym wydziwiali, nie rozumiejąc, że człowiek bogaty mógł sobie na to pozwolić. Przy domu założył duży ogród i otoczył go niskim, ażurowym murem. To było ciekawe, że w niespełna rok po zbudowaniu domu kazał ten murek rozebrać, a na jego miejsce wyciągnął obecny mur wysoki i zaprowadził surowy rygor w stróżowaniu domu, co sąsiedzi już uważali za wariacje. Podczas wielkiej wojny, po zajęciu kraju przez Niemców, przebywał w Rosji, a gdy wrócił, zwłaszcza po najeździe bolszewickim, rygor ten został jeszcze zaostrzony: kto, w dzień nawet, chciał się do domu dostać, z wyjątkiem jego, doktora i księdza, musiał czekać przed bramą, dopóki stróż nie dostał pozwolenia na wpuszczenie go do środka. Doktor nie umiał objaśnić źródeł tej ostrożności, ale nie wątpił, że pan Alfred musiał mieć do niej poważne powody.

Doktor też znał przeszłość Grzegorza. Był on synem stajennego z Turowa. Pan Alfred zwrócił uwagę na piętnastoletniego chłopaka; podobał mu się, bo był bystry, a jednocześnie znakomicie wyrośnięty i na swój wiek fizycznie silny. Wziął go ze sobą do Warszawy, a gdy przywiózł go po dwóch latach do Turowa, nie mogli ludzie chłopaka poznać. Ucywilizował się, nauczył się dobrze pisać, a jednocześnie nabrał wyglądu wprost atletycznego. Podobno uczył się boksu na koszt pana. Został pomocnikiem przy starym służącym, który później, gdy pan Alfred podczas wojny wyjechał, objął opiekę nad domem. Stary służący w trzecim roku wojny zmarł i Grzegorz pod kontrola rządcy tę opiekę sam dalej sprawował. Użerał się z Niemcami, którzy w Turowie, bywali częstymi gośćmi: raz byliby go nawet rozstrzelali, gdyby rządcą zręcznym wybiegiem nie by go obronił. Po powrocie pan Alfred bez względu na jego wiek młody zrobił go szefem służby domowej i swoim powiernikiem. Doktor był zdania, iż Grzegorz karierę zawdzięczał temu, że pan Alfred chciał mieć przy boku człowieka silnego i fizycznie wyćwiczonego, który mógłby być jego obrońcą w potrzebie; Grzegorz zaś przy wszystkich swoich zaletach odznaczał się zimną krwią i odwagą. Był panu Wdzięczny, a wdzięczność ta w dwójnasób wzrosła, gdy po ożenieniu się dostał kawał gruntu, przez co stał się zamożnym gospodarzem.

Doktor oświadczył, że czułby się bardzo źle, gdyby Grzegorz go uważał za wroga swojego pana.

Niewątpliwie doktor podzielił się z nim wszystkim, co wiedział. Niestety, klucza do tajemnicy stryja nie posiadał.

W Warszawie Twardowski znał tylko Osieckiego i od niego postanowił zacząć penetrację w warszawskie życie. Najnormalniejszą drogą wydało mu się poznanie przede wszystkim sfer naukowych, uniwersyteckich, z którymi najłatwiej mu było znaleźć wspólny język. Zapytał też mecenasa, czy nie posiada w tych sferach znajomości.

Osiecki był wdowcem i miał dwie zamężne córki. Życiem towarzyskim nie żył; stosunki jego ograniczały się do rodziny i do klientów. Jeden wszakże z jego zięciów był profesorem na wydziale prawnym, a nadto jedną ze znakomości uniwersyteckich, profesor Topoliński, był jego kolega ze szkolnej lawy. Rzadko się wprawdzie widywali, ale stosunek między nimi pozostawał życzliwy. przy pewnej ze strony Topolińskiego protekcjonalności.

Ofiarował się więc mecenas urządzać niewielka kolacje.

- Będzie nas dwóch - rzekł - zaproszę Topolińskiego i kogoś, kogo on mi poradzi i zięciowi powiem, żeby przyprowadził któregoś wybitniejszego ze swych kolegów.

Szybko się zakrzętała i w parę dni towarzystwo już zeszło się u niego na kolację. Twardowski uważnie ich obserwował.

Topoliński był odęty i namaszczony. Mówił jak wyrocznia i jak wyrocznia był mętny. Zięć Osieckiego - typ umysłu raczej rzemieślniczy - był niezbyt inteligentny, ale za to skromny i nieśmiały. Natomiast pozostali młodzi profesorowie robili wrażenie ludzi skromnych i żywych. Różnili się bardzo między sobą. Przyprowadzony przez Topolińskiego Kozieniecki był dobrze ubrany, miał maniery salonowe, wysławiał się gładko. Natomiast zaproszony przez zięcia Osieckiego prof. Piętka był bardzo prosty, niezgrabny i pomimo młodego wieku trochę oryginał.

- Pan pracuje naukowo? - zapytał gościa zagranicznego Topoliński.

Twardowski postanowił być skromny.

- Naukowo, to trudno powiedzieć - odparł. - Nic nie napisałem i nigdzie nie wykladałem. Raczej interesuje się nauką.

Topoliński zaczął mówić o znakomościach naukowych. z którymi znał się osobiście. Stad wywiązała się między nim a Twardowskim dyskusja o znaczeniu i wartości prac jednego z profesorów paryskich, którego obaj znali. Młodzi profesorowie słuchali jej chciwie - widać było, że Twardowski imponuje im inteligencją, wiedzą i dyscypliną umysłową. Kozieniecki milczał i zachowywał powagę; Piętka natomiast głośno przytakiwał Twardowskiemu i rzucał ku niemu spojrzenia, aż nadto wyraźnie mówiące, że uważa Topolińskiego za skończonego osła.

Po pewnym czasie Kozieniecki rzekł:

- Skoda, że pan nic nie napisał i nie starał się o katedrę. Byliby pan świetnym profesorem.

- Nie wiem - odparł Twardowski - zaszkodziło mi to, że miałem dość dużą rentę, wyznaczoną mi przez stryja, i nie byłem zmuszony na chleb pracować. Skutkiem tego nie skupiłem się na jednym przedmiocie, pozwoliłem swoim zainteresowaniom zanadto się rozszerzyć i zostałem właściwie dyletantem.

Wiedział, że mówi nieprawdę, nie chciał wszakże powiedzieć, jaki jest istotny przedmiot jego badań.

- Cóż pana sprowadziło do nas? - spytał Piętka.

- Przed kilku tygodniami stryj mój umarł i przyjechałem objąć po mm spadek.
- Jak na imię było pańskiemu stryjowi? - zapytał Topoliński.
- Alfred. Może pan go znał?...

Topoliński jakoś się ożywił, jakby zaniepokoił.

- Owszem, spotkałem go, ale to było bardzo dawno. Nie widziałem go od kilkunastu lat.

Widoczne było, że profesor niechętnie się przyznaje do tej znajomości, ale że jednocześnie chciałby się czegoś od Twardowskiego dowiedzieć.

- Stryj pański był człowiekiem bogatym, nieprawda?

- Był przed wojną. Wojna wszakże jednym wzbogaca, innych zuboża, Dużo też podczas wojny stracił. Została po nim niewielka posiadłość ziemska i trochę gotówki.

Osiecki strzygł uszami i ukradkiem spoglądał na Twardowskiego,

- Pan, naturalnie, blisko znał swego stryja? - pytał Topoliński.

- Niewiele. Do lat trzynastu, do śmierci mego ojca nie znałem go wcale. Po śmierci ojca zabrał mnie i umieścił w szkołach zagranicą. Od tego czasu widywałem go, ale rzadko i na krótko. Przy tym był to człowiek zamknięty w sobie. Nigdy mi nic o sobie nie mówił. Mogę powiedzieć, że go nie znałem prawie wcale.

Znów mówił nieprawdę z całą świadomością. Zauważył, że Topoliński jakby się trochę uspokoił.

- Zostaje pan teraz w kraju? - pytał profesor.

- Na pewien czas przynajmniej.

Rozmowa przeszła na inne tematy i wkrótce zebrani się rozeszli.

Twardowski sobie zanotował Topolińskiego jako człowieka bez naukowej wartości, ale mogącego przedstawiać pewna wartość w poszukiwaniach przeszłości stryja.

W dwa dni potem złożył mu wizytę elegancki profesor Kozieniecki.

Po wielu komplementach, którymi obdarzył gospodarza, rzekł:

- Spotkałem wczoraj w towarzystwie dobrą moją znajomą, panią Czarnkowską: Pan wie, kto to są państwo Czarnkowscy?

- Nie, nie słyszałem o nich.

- To znany ziemianin, człowiek majątny. Są to ludzie bardzo mili i kulturalni. Prowadzą dom w Warszawie i, trzeba przyznać, że dobierają interesujące towarzystwo. Jest to głównie zasługa ich córki. Panna Wanda jest osobą inteligentną. Otóż pani Czarnkowska, usłyszawszy ode mnie o panu, bardzo zapragnęła pana poznać i zobowiązała mnie, że w czwartek pana do nich przyprowadzę. W czwartki zawsze przyjmują. Przyszedłem pana zaprosić w jej imieniu. Niech pan nie odmawia, bo ona mi nie daruje, jeżeli się bez pana pokażę.

- Ależ owszem - odrzekł śmiejąc się Twardowski. - Moim właśnie pragnieniem jest poznać towarzystwo warszawskie.

Kozieniecki wyszedł ucieszony. Nazajutrz, w czwartek, wstąpił po Twardowskiego

i pojechali razem do Czarnkowskich. W drodze zdążył mu opowiedzieć różne rzeczy o ich, między innymi, że panna Wanda jest córka tylko pana Czarnkowskiego, który się ożenił jako wdowiec, ojciec malutkiego dziecka. Pani Czarnkowska zastąpiła jego córcę matkę.

Przybyli wcześniej - w salonie jeszcze nikogo nie było. Wyszła do nich pani Czarnkowska z panną. Pani daleka jeszcze do pięćdziesiątki, acz ze zmęczoną twarzą, zachowała spore resztki niewątpliwej piękności. Panna, bardzo urodziwa, ciemna blondynka z niebieskawo-szarymi oczyma, uderzyła go przede wszystkim

wyjątkowo piękną postawą. Nie mógł oderwać oczu od jej linii. Nie podobała mu się wszakże z zachowania. Widział w życiu wiele młodych panien, ale tylko w Ameryce spotkał kobiety, tak ostentacyjnie okazujące mężczyznom lekceważenie. Podała mu rękę od niechcenia, stojąc do niego bokiem, Kozienieckiego zaś przywitała jak młodszego i głupszego kolegę, choć przerastał ją wiekiem o jakie osiem lat i był niewątpliwie człowiekiem bardzo inteligentnym.

Pani Czarnowska posadziła go na przeciw siebie w rogu salonu, panna zaś zabrała Kozienieckiego do przeciwnego rogu, gdzie zaczęła z nim ożywioną rozmowę.

- To pan jest synowcem pana Alfreda Twardowskiego - rzekła pani Czarnkowska

słabym, jakby złamanym głosem. - Nic nie wiedziałam, że umarł.

- Pani go znała?

- O tak, spotykaliśmy się często; ale to było bardzo już dawno.

- Ja sam bardzo mało znałem swego stryja i cielże się ogromnie, gdy spotykam osobę, od której mogę coś o nim słyszeć.

- To był człowiek niezwyklej wartości: bardzo inteligentny... Gdyby nie to straszne nieszczęście...

Twardowski czekał, co dalej usłyszy, ale ucięła i nic więcej nie mówiła.

- Jakie nieszczęście? - zapytał.

Po pewnym wahaniu odpowiedziała:

- Jego choroba...

- Choroba?... nie słyszałem... No cóż on był chory?

Zmieszła się i zeszywniała.

- Ja się na tych chorobach nie znam. Lekarze mówili, że mu grozi paraliż postępowy, czy jakiś tam.

Twardowski osłupiał.

- Goście tymczasem schodzili się, przeważnie młodzi - goście panny Wandy. Skorzystał z tego, że parę starszych pań usiadło koło pani domu, i przeniósł się do drugiej części salonu, żeby posłuchać ożywionej rozmowy która tam się toczyła. W uszach mu brzęczały słowa: „paraliż postępowy”...

Zbliżył się do Kozienieckiego.

- Pana domu nie ma?

- Jeszcze nie wrócił z zagranicy.

W młodym towarzystwie mówiono o najnowszych utworach młodej literatury. Rej wodziła panna Czarnkowska, która wyrażała swoje dla nich uznanie. Kazała jednemu z panów przeczytać jakiś wiersz, głównie odznaczający się tym, że spotkało się w nim wyrazy i pojęcia, którymi poezja dotychczas nie operowała. Po skończeniu czytania rozległy się głosy zachwytu. Batutę w tym chórze trzymała panna Wanda.

Twardowski poczuł potrzebę powiedzenia jej czegoś nieprzyjemnego.

- Moim zdaniem - rzekł - słuszność mają krytycy, którzy za główne źródło tych powojennych kierunków w literaturze i sztuce uważają upadek szkół podczas wojny, a stąd nieuctwo młodych twórców. Wykazano pionierom nowych prądów literackich, że nie znają największych poetów świata i ogłaszają jako odkrycia to, co wielu przed nimi lepiej powiedzieli. Zresztą, istotna oryginalność u zbyt młodych poetów i artystów to fikcja. Najwięksi geniusze zaczynali od naśladownictwa, a dopiero, gdy duch ich dojrzał i zmężniał, wypowiadała się ich samoistność, ich oryginalność. Żeby posunąć naprzód twórczość w jakiegokolwiek dziedzinie, trzeba poznać i zrozumieć to, co przed nami zrobiono. Zdaje mi się, że Mickiewicz był nie tylko jednym z

największych geniuszów poetyckich świata, ale i jednym z najbardziej wykształconych Polaków swej epoki.

- Tak mówią starsi - odcięła się panna Czarnkowska, wywołując uśmiechy na wszystkich twarzach..

- Do nas młodych przemawia młoda literatura i młoda sztuka. Sprawia ona na nas głębsze wrażenie, niż wszystko, co przedtem pisano lub malowano.

- Przemawia... sprawia wrażenie ... - przedrzeźniał Twardowski i czuł, że jest niegrzeczny. - Interesował mnie zawsze stosunek publiczności do sztuki. Doszedłem do przekonania, że ludzie, mający własne zdanie o utworach sztuki i o twórcach, zdarzają się wyjątkowo. Ogół myśli i czuje to, co mu wmówiono, żyje pod sugestią. Można postawić przed ludźmi zdartą miotłę i, jeżeli się dobrze do tego zabrać, będą się nią zachwycali.

Panna Wanda lekko się zaczerwieniła i zagryzła usta. Reszta towarzystwa złodowaciała. Widocznie nie zdarzyło się nigdy, żeby ktoś ośmielił się przemawiać do panny Czarnkowskiej podobnym tonem.

Dyskusja się utrwała. Towarzystwo rozbiło się na grupki i powoli zaczęło się rozchodzić. Podszedł i on z Kozienieckim do panny Wandy, żeby się pożegnać.

Podążyła mu rękę w milczeniu, zimno i grzecznie, ale z oczu jej przemawiał gorzki wyrzut, zatrzymała Kozienieckiego i coś mówiła do niego po cichu, gdy Twardowski zegnał się z panią domu. Był przekonany, iż Kozieniecki odbiera od panny wymówki za to, że takiego gburę przyprowadził do domu.

Gdy się znaleźli na ulicy. Kozieniecki ku jego zdziwieniu zakomunikowali mu, ażeby Twardowskiego na następny czwartek koniecznie przyprowadził. bo musi się z nim wyklócić.

Rozstawszy się z Kozienieckim. szedł powoli do domu, wyrzucając sobie, że zbyt niegrzecznie postąpił z panną Czarnkowską. Jeszcze żadnej kobiety w życiu tak nie potraktował... Zaczął sobie przypominać i stwierdził, że bywał jeszcze niegrzeczniejszy. Tak. ale to było co innego... Tamte były złośliwe, wstrętne baby. A ta, to trochę dzieciak, i wcale nie wstrętny. Jeszcze teraz miał przed oczyma wspaniałe linie jej giętkiej postaci. Ale należało jej dać nauczkę za jej zarozumiałość i za to impertynenckie zachowanie się od pierwszej chwili. Zresztą, był zirytowany tym, co usłyszał o swoim stryju od pani Czarnkowskiej.

Dziwna kobieta... Zaczęła mówić o stryju z widoczną sympatią, a potem powtórzyła o nim takie obrzydliwe kłamstwo. Bo to niezawodnie kłamstwo...

Wróciwszy do siebie, siadł natychmiast i napisał list do doktora Zemły, powtarzając mu swą rozmowę z panią Czarnkowską. Pytał, co doktor wie o tym, sam zaniósł list na dworzec kolejowy, żeby jeszcze tego wieczora odszedł.

Ciągle jeszcze wracał myślą do popołudniowej wizyty u Czarnkowskich. Zły był na siebie i na dziewczynę, która go sprowokowała do niegrzecznego zachowania się. Jej się należała nauczka, ale nie w tej formie. Powiedziała Kozienieckiemu, że chce się z nim wyklócić... Dobrze, tylko niech ona nie myśli, że mu zaimponuje i że zrobi z niego takiego pudła jak z Kozienieckiego.

W sobotę miał odpowiedź od Zemły. List był pisany z widocznym wzburzeniem. "Jest to - mówił pocziwy doktor - nikczemne kłamstwo. Pan Twardowski nie tylko nie miał najmniejszych symptomów paraliżu postępowego, ale nie przechodził w swym życiu choroby, która ten paraliż musi poprzedzać. W czasie, kiedy opuścił Warszawę i kiedy go poznałem, był to człowiek, któremu każdy mógł zdrowia pozazdrościć, i dopiero później zaczął na serce niedomagać. Na to, co tu piszę daje panu słowo honoru. Zastosuje się do pańskiego życzenia i zachowam to

wszystko przy sobie, ale. doprawdy, chciałoby się głośno krzyknąć z oburzenia na nędzników, którzy podobne oszczerstwa na tego człowieka puszczały w obiegu".

Nowe okno otworzyło mu się na przeszłość stryja. Ktoś go oczerniał, walczył z nim oszczerstwem. Ciekawa rzecz, kto i w jakim celu... Może być, że z pani Czarnkowskiej da się wyciągnąć więcej. Zdaje się, że go dobrze znała, bodaj nawet interesowała się nim bliżej - tak można było sądzić z jej tonu. I Topoliński mógłby pewnie coś powiedzieć. Niewątpliwie miał jakieś stosunki ze stryjem; tylko ten nie robił wrażeń przyjaciela...

Twardowski nabrał otuchy. Te pierwsze kilka dni w Warszawie już go naprowadziły na pewne ślady. Wierzył, że posuwając się umiejętnie naprzód, wkrótce dotrze do prawdy. Zaczęła go ogarniać namiętność. Przypomniał sobie Wygę na tropie zajęczym: musiał on czub tak samo.

Tylko nie ma jeszcze śladu Kolmara.

Rozdział VIII

Twardowski siedział rano przy biurku w swoim gabinecie. Przed nim leżała sterta nowych książek, które przeglądał jedna po drugiej.

Było to jego stałą metoda, że gdy przyjeżdżał do nowego kraju, rozczytywał się w jego literaturze powieściowej, co mu dawało pewne pojęcie o miejscowych stosunkach i o psychice społeczeństwa. Teraz właśnie zabierał się do współczesnej, powojennej powieści polskiej.

Wśród tego zajęcia usłyszał dzwonek u drzwi wejściowych. Za chwilę wszedł służący i podał mu bilet wizytowy:

HENRYK CULMER

Kto to być może?...

Wszedł pan średniego wzrostu, dość otyły w wieku lat sokoło sześćdziesięciu. Wyglądał imponująco... Duża, biała grzywa, zarzucona w tył i równie biała, przystrzyżona na ostro broda. Od tej białości odbijały czerwone, lśniące policzki i jeszcze czerwieńsze wargi: dolna, gruba, opuszczona i zgięta w dziobek, niby przygotowany do ciągnięcia jakiejś słodyczy. Najbardziej uderzały oczy o czarnej jak węgle, gorejące jak węgle rozżarzone, oczy prawie nigdy niespotykane pod północnym niebem. Wiał od nich żar arabskiej czy syryjskiej pustyni.

- Semita - rzekł sobie w duchu Twardowski.

Wskazał gościowi fotel koło biurka.

- Czym panu mogę służyć? - zapytał uprzejmie.

- Czy panu znane jest moje nazwisko? - pytał gość śmiało, głosem pewnym, bardzo dźwięcznym.

- Niestety, nie.

- Pomimo angielskiego brzmienia należy ono do Polaka. Jesteśmy w Polsce od paru pokoleń.

Twardowski spojrzął na leżący przed nim bilet i przeczytał nazwisko po angielsku: Kolmar! Przynajmniej coś bardzo bliskiego. I tamten w wagonie był raczej Culmerem, niż Kolmarem.

Zesztywniał wewnętrznie. Na zewnątrz nic nie okazał.

- Usłyszałem o panu - mówił dalej gość - od mojej dobrej znajomej, pani Czarnkowskiej, i przyszedłem pana poznać. Byłem wielkim przyjacielem pańskiego stryja. Myślałem, że Alfred mówił panu o mnie.

- Niestety, - rzekł Twardowski, panując nad sobą - myśmy się że stryjem bardzo

rzadko i tylko na krótko widywali. Stryj nigdy mi o swoich sprawach i stosunkach nic nie mówił. Żałuję bardzo, ale nazwisko pańskie po raz pierwszy spotykam.

- Zaczynam dopiero poznawać Polskę. Z wyjątkiem pierwszych lat dziecięcych całe życie spędziłem za granicą.

- Bardzo dobrze - mówił z namaszczeniem Culmer - że pan w kraju osiada.

Nam

potrzeba ludzi zdolnych wykształconych. Słyszałem, że pan pracuje naukowo?.

Twardowski powtórzył mu to, co powiedział profesorowi Topolińskiemu.

- Jaka to szkoda, że stryj pański poniósł duże straty podczas wojny! To był człowiek bardzo zamożny.

Twardowski przypomniał sobie, że z panią Czarnkowską nie mówił o sprawach majątkowych stryja. A więc Culmer musiał mieć relacje o nim od kogo innego, chyba od Topolińskiego - do czego się nie przyznał. To zasługiwało na zanotowanie.

- Pewnie będzie pan chciał poznać trochę ludzi tutejszych - ciągnął Culmer. Służę panu swymi stosunkami, których mam sporo. Jest pan dla mnie synowcem mego drogiego przyjaciela. Mam nadzieje, że mnie pan odwiedzi. Będzie pan najmiłym gościem.

Po krótkiej rozmowie o rzeczach obojętnych chciał wyjść, gdy Twardowski go zatrzymał:

- Nie wiedziałem nawet o tym, że stryj mój był od dawna ciężko chory. Podobno groził mu paraliż postępowy?

Culmer popatrzył nań badawczo.

- Dziś - odrzekł - po jego śmierci można już o tym między nami mówić. To była opinia poważnych lekarzy. I to było przedmiotem wielkiego mojego zmartwienia. Inaczej, Alfred nigdy by się tak całkowicie nie wycofali z życia, w którym miał wielkie podwożenie.

- Sam studiowałem medycynę - rzekł Twardowski - i chętnie bym z którym z tych lekarzy pomówił o moim stryju. Byłbym panu bardzo Wdzięczny, gdyby pan zechciał mnie z nimi zapoznać.

- Niestety - odrzekł nieco zbyt pospiesznie Culmer - obaj doktorzy, którzy stan jego zdrowia znali i o nim opiniowali, już nie żyją.

- Jaka szkoda!

Tym razem w głosie Twardowskiego nie było nic udanego: żal jego był całkiem szczery.

Po wyjściu gościa odświeżał sobie w pamięci opis "Kolmara", który dał mu w Turowie Grzegorz. Jeżeli tamten przez dziesięć lat ostatnich osiadał, był to ten sam człowiek. A jeżeli tak, to trzymający się godnie pan Henryk Culmer był nie lada ptaszkiem. Mówić "o drogim przyjacielu Alfredzie" po opowiedzianej przez Grzegorza scenie w Turowie mógł tylko lotr niemałego kalibru. Jeżeli zaś jest on przy tym "tata" owego Kolmara z pociągu Calais - Paryż?..

Twardowski zaczął gwizdać.

Sprawa idzie szybko. Nie miał potrzeby szukać "Kolmara", sam mu wlał w rękę. Chce nawiązać z nim przyjazne stosunki. Ciekawa rzecz, w jakim celu. Trzeba pójść do niego - to będzie bardzo interesujące.

Tymczasem są do zanotowania fakty: Culmer zna panią Czarnkowską, nazywa swoją dobrą znajomą; podpisuje się pod kłamstwem o chorobie stryja, powołuje się nawet na powagi lekarskie, które... poumierzały; musi być blisko z Topolińskim, który pośpieszył go poinformować o zjawieniu się synowca Alfreda Twardowskiego; wreszcie Culmer chce uchościć w jego oczach za przyjaciela zmarłego stryja.

Wziął do ręki książkę telefoniczną. Tym razem znalazł adwokata Henryka Culmera.

Adwokat?... Twardowski się zamyślił.

Po chwili wziął znów katalog odszukał numer Osieckiego i zadzwonił.

Osiecki był w domu i mógł go przyjąć za kwadrans. Ubrał się, wyszedł z domu i wsiadł w pierwszą taksówkę.

- Pan mi mówił - rzekł na wstępie do Osieckiego - że pan prowadził sprawy mojego stryja od lat dziewiętnastu. Więc przed panem stryj miał innego adwokata, od którego pan sprawy przejął.

- Naturalnie.

- Kto był tym adwokatem?

- Kulmer, Henryk Kulmer.

- Kulmer? ...

- On sam wymawia swoje nazwisko inaczej. Kolmar czy coś w tym rodzaju. Ma to być wymawianie angielskie: rodzina jego ma niby pochodzić z Anglii. Jeden wszakże z naszych starych, dziś już nieżyjących kolegów, twierdził stanowczo, że Kulmery to Żydzi polskie z Prus i że nazwisko ich pochodzi od Chełmna na Pomorzu. Chełmno po niemiecku Kulm. W ogóle najdawniej cywilizowane rodziny żydowskie w Warszawie pochodziły z Prus Królewskich i z Poznańskiego. Przyszły one tu z Prusakami po trzecim rozbiore.

- Jakiegoż on wyznania?

- Kalwińskiego. Powiada, że przodkowie jego, Szkoci, praktykowali prezbiterianizm; ojciec zaś jego wybrał kalwinizm, który jest prawie tym samym, a ma tradycje polskie. To wszystko blaga. U nas w ogóle Żydzi, którzy dla wygody zmieniają wyznanie, lubią kalwinizm, bo to najdalej od rzymskiego katolicyzmu., przy tym najmniej kłopotliwe.

- Pan go zna dobrze?

- Mało. Nie lubię go. Jednakże on ma pozycje w Warszawie. Wielu ludzi obdarza go dużym zaufaniem i radzą się go nie tylko w kwestiach prawnych. Ma reputację bardzo mądrego.

- Dlaczego stryj przeniósł się od niego do pana?

- Nie wiem. Akty otrzymałem nie od niego, ale od pana Twardowskiego, który sam je od Kulmera odebrał. Sam też siedział ze mną dobrych kilka godzin, sprawdzając, czy Kulmer wszystko w porządku oddał.

- Czy likwidacja interesów stryja zaczęła się już przy Kulmerze?

- Nie. Rozpoczął ją pan Twardowski wkrótce po przeniesieniu spraw do mnie. Zdaje się, że wtedy stosunki między nim a Kulmerem były całkiem zerwane. Gdy były jakieś wątpliwości, zwracałem się na piśmie do Kulmera i na piśmie otrzymywałem odpowiedź.

Twardowski wrócił do domu, zadowolony z wyniku dochodzenia.

Culmer był adwokatem stryja, po czym "drogi przyjaciel Alfred" odebrał mu swe sprawy i zerwał z nim stosunki. Stało się to w krytycznym roku 1911, po którym stryj wycofał się z życia. Co się w owym roku stało?... Oto główne pytanie. Za wszelką cenę trzeba znaleźć na nie odpowiedź i sam Culmer musi do tego dopomóc. Dlatego trzeba udawać naiwnego, niepraktycznego filozofa, który się niczego nie domyśla. Trzeba przez jakiś czas jeszcze kłamać.

Twardowski, chociaż czystej krwi Polak, skutkiem swego niepolskiego wychowania i odcięcia od własnego społeczeństwa w okresie, kiedy charakter człowieka ostatecznie się formuje, nie podlegał nigdy wahaniom od chwili, gdy sobie jakiś cel wyraźnie postawił i nie uznawał możliwości niepowodzenia. Wierzył, że gdy

człowiek zrobi wszystko. co potrzeba, cel zawsze osiągnie. Wszystko inne wtedy schodziło na drugi plan, cała jego energia skupiała się na jednej sprawie, szedł przed siebie pewnym krokiem, dopóki u celu nie stanął. Nie było w nim nic z Hamleta.

Był to jego sposób używania życia: osiąganie celu było dla niego o wiele większą rozkoszą, niż doznawanie przyjemnych wrażeń. I rozkosz była tym większa im cel był trudniejszy do osiągnięcia.

W danym wypadku nie zdawało mu się, żeby przedsięwzięcie było bardzo trudne. Bawiła go za to jego niezwykłość. Podniecała go gra psychologiczna, rozpoczynająca się między nim a łotrem, który usiłuje zbliżyć się do niego dla jakiegoś ukrytego celu.

Nazajutrz poszedł do Culmera. Nie zastał go i tylko bilet wizytowy zostawił.

Twarz służącego, który mu drzwi otwierał, wydała się mu znajoma. Wracając więc do domu, zastanawiał się nad tym, gdzie mógł tę twarz widzieć. Duża głowa, osadzona na małym ciele, rysy brzydkie, wstrętne, jakaś dziwna mieszanina rasowa, niby Żyd, a jednak niecałkiem Żyd. Wiek około pięćdziesiątki. Z zachowania raczej oficjalista niż służący... Nareszcie przypomniał sobie, to tylko podobieństwo. Zupełnie takie samo wrażenie zrobił na nim służący jednego profesora paryskiego, również Żyda z pochodzenia, odgrywającego bardzo wpływową rolę w stosunkach francuskich, przy czym niepodobna było zrozumieć skąd pochodzą jego wpływy.

- To widocznie jaka osobna rasa służących u pewnego typu ludzi - rzekł ze śmiechem do siebie Twardowski, któremu jakaś odległa myśl przebiegła przez głowę.

Wieczorem zadzwonił Culmer.

Prosił go nazajutrz na śniadanie i przeproszał, że robi to tak bezceremonialnie. Chciałby, żeby pan Twardowski traktował go jak starego znajomego, jak przyjaciela. Obaj są ludźmi pracy: najwygodniej z najmniejszą stratą czasu pogadają sobie przy stole. Jest wdowcem. mieszka sam i na śniadaniu nikogo więcej nie będzie.

Twardowski podziękował i obiecał się stawić.

Przyjął to zaproszenie. jak wyzwanie na pojedynek. Przeciwnik jest, zdaje się wypróbowanym fechtmistrzem i trzeba mu sprostać. Najlepiej będzie obmyślić sobie rolę i grać ją konsekwentnie. Ciekawa rzecz, kto kogo lepiej obełga...

Nie uważał siebie za nowicjusza: przez lata całe, przy swoich studiach, musiał wiele dyplomatyzować, wiele kłamać, żeby się dowiedzieć tego, czego szukał.

Nazajutrz stawił się punktualnie. Ten sam wstrętny famulus wpuścił go do salonu

dość pospolicie umeblowanego. Uderzała ogromna ilość chryzantem, różnych barw form i wielkości, zarówno rosnących w doniczkach, jak ciętych, powitykanych w wazonach i wazoniki.

Wszedł gospodarz. Brył już mniej namaszczone, a za to bardziej poufały. Dziękował Twardowskiemu za przyjęcie zaproszenia: tak mu miło, że ten go traktuje po przyjacielsku.

- Dziwię pana pewnie te kwiaty – rzekł zataczając ręką – Chryzantem to moja wielka słabość. Zacni przyjaciele o niej wiedza i ciągle mi je przysyłają...

Twardowski sobie powiedział, że ta słabość to najpewniej blaga, poza, która dobrze robi w interesie. I pewnie bestia sam sobie je kupuje.

Wszedł służący:

- Do stołu podane.

Gospodarz uprzedził, że śniadanie będzie skromne.

Twardowski niebawem się przekonał, że skromne nie było, tylko było za ciężkie.

Gospodarz rozpoczął rozmowę.

- Pan sobie wybrał drogę naukową. W jakim kierunku pan pracuje?
- Ukończyłem medycynę - odrzekł Twardowski - i miałem zamiar zostać lekarzem. Stryj jednak zapewnił mi poważną pomoc materialną i postanowiłem dalej studiować. Z początku siedziałem w fizjologii, potem zainteresowała mnie psychologia. Poprzednie studia dały mi do niej dobrą podstawę, w niej też utkwilem.
- Może pod wpływem stryja?...
- Nie. Stryj się nie interesował przedmiotem moich studiów - Twardowski rozumiał, że tu lepiej nie powiedzieć prawdy. - W ogóle mało się mną interesował, poza tym, że mi materialnie pomagał.
- Wybrał pan sobie bardzo ciekawą gałąź wiedzy. Pewnie pan ma już poważne rezultaty swych studiów.
- Niestety. przekonałem się, że gdy człowieka nie zmusza potrzeba starania się o katedrę, trudno mu skupić się na jakimś jednym, ograniczonym zagadnieniu, i zanadto się rozprasza. Dotychczas nic nie napisałem.
- Ma pan zamiar kontynuować studia?
- Nie wiem - tu znów mówił nieprawdę - w każdym razie przedmiot nie przestanie mnie interesować. Teraz muszę się zająć spadkiem po stryju. Nie jest to wielki majątek. ale przy dobrej administracji da mi całkowitą niezależność.
- Jest pan uprzywilejowany. Człowiek inteligentny, wykształcony, znający świat, a przy tym materialnie niezależny - to wielka siła. Ma się rozumieć, gdy wytworzy sobie stosunki, dające mu możliwość działania. Nie ma pan zamiaru wejść w nasze życie publiczne, w politykę?...
- O tym nie myślałem. . .
- Takich ludzi u nas potrzeba. Z pańskimi danymi mógłby pan zejść wysoko i wiele zrobić.
- Sądzi pan? - zapytał Twardowski, udając wielkie zainteresowanie.
- Niezawodnie. Nam brak ludzi europejskich. Nadto jest pan czystą, nie zapisaną kartą, nic panu z pańskiej przeszłości nie zawadza.
- Ale też nie mam żadnych zasług, nic co by za mną przemawiało.
- To właśnie dobrze. Każdy działacz robi mądre rzeczy i głupstwa: jeden więcej mądrych rzeczy, inny więcej głupstw. Wprawdzie są sposoby zmuszenia opinii, żeby jednym pamiętała mądre rzeczy, a innym głupstwa, nawet wmówienia jej rzeczy, których nie było; na ogół wszakże ludzie u nas o wiele lepiej pamiętają innym błędy, niż zasługi. I dlatego opinia nasza najchętniej obdarza zaufaniem ludzi nowych, nie mających przeszłości. Zwłaszcza, jeżeli jej się do tego pomoże umiejętnym wprowadzeniem nowego człowieka. Tu i ja mógłbym oddać pewne usługi, bo mam trochę wpływów.
- Twardowski zrozumiał, że Culmer chce obudzić w nim ambicje, do których zaspokojenia byłby mu potrzebny. Zaczął więc udawać, że się na wędkę bierze.
- Wszystko - rzekł - zależy od tego, czy będę mógł żyć się z Polską. Jestem z nałogów cudzoziemcem, wyrosłem na Zachodzie.
- Któż z nas jest całkiem zżyty z Polską? - odrzekł gospodarz. - My, ludzie bardziej europejscy, wszyscy czujemy się tu niecałkiem u siebie. Jedyny na to sposób, żebyśmy się solidarnie trzymali, działali według planu i zaprowadzili tu Europę. Pan ma do tego wielkie warunki, bo, wychowany na Zachodzie, wolny pan jest od przesadów, które tu hamują prawdziwy postęp.
- To jest introdukcja do czegoś - pomyślał Twardowski i czekał, co Culmer dalej powie. Ale ten przerwał, zainteresowawszy się nagle kaczką z tygła z oliwkami. Spytał gościa, jak mu smakuje i rozmowa chwilowo przesunęła się na gastronomię.

Gdy przeszli na czarną kawę i cygara do gabinetu gospodarza, Culmer zagadnął:

- Zajął pan mieszkanie w Warszawie i dom na wsi po stryju?
 - Tak.
 - Jeszcze się pan pewnie całkiem nie urządził?
 - O nie. Mam zresztą jeszcze swoje mieszkanie w Paryżu.
 - To nie tak łatwo dom jednego człowieka zrobić domem drugiego. Alfred był duża indywidualnością, miał szerokie zainteresowania, nagromadził w domu dużo rzeczy, które lubił, książek, papierów... Papierów musi być mnóstwo?...
 - Tak, bardzo dużo.
 - Pewnie pana interesują?
 - Nie bardzo - skłamał Twardowski - Przeważnie dotyczą one jego dawnych interesów, które nie są moimi i na których się nie znam.
 - Przeglądał je pan?
 - Bardzo powierzchownie.
 - Cóż pan z nimi zrobił?
 - Trzeba je będzie rozklasyfikować; oddzielić to, co może mieć jakieś znaczenie, resztę zaś złożyć do kufrów. Całe szczęście, że stryj zostawił papiery we wzorowym porządku.

Culmer widocznie opanowywał się, żeby nie pokazać, jak go ten przedmiot interesuje. Twardowski zauważył, że służący Jakub, jak go Culmer nazywał, kręci się ciągle po pokoju, czy jest potrzebny, czy nie, i uważnie słucha rozmowy. Culmerowi to wszakże nie przeszkadzało - widocznie przywykł z nim dzielić swe tajemnice.

- W każdym razie - rzekł gospodarz - to żmudna praca, zwłaszcza dla kogoś, komu sprawy Alfreda są całkiem obce. Gdybym panu mógł być w tym względzie pożyteczny, to służę. Mógłbym przyjechać na parę dni do Turowa i razem zrobilibyśmy tę robotę. - Jakże mnie pan ucieszył! - beczelnie zawołał Twardowski. - Gotów jestem chwycić pana za słowo i skorzystać z pańskiej propozycji. Wiem, że byłoby to niesumienne wyzyskanie pańskiego drogiego czasu, ale tak się tej pracy boje!

Culmer widocznie nie posiadał się z radości.

- Ależ, panie - rzekł - zrobię to z wielką przyjemnością. Przy mojej pomocy załatwimy to dziesięć razy szybciej, niż gdyby się pan sam grzebał.

- A więc dziękuję panu serdecznie. Gdy tylko będę miał czas i odwagę na zabranie się do tej roboty, pozwoli pan, że się udam do pana.

- Może pan na mnie liczyć. Tylko lepiej z tym nie zwlekać.

Pożegnali się w dobrych humorach, każdy z czego innego zadowolony. Culmer cieszył się, że młody Twardowski wygląda na człowieka nieszkodliwego, że są widoki obudzenia w nim ambicji i tym, sposobem zrobienia z niego posłusznego narzędzia, że wreszcie teraz otwiera mu się łatwa droga dobrania się do papierów Alfreda Twardowskiego i oczyszczenia pozostałego po nim archiwum z niepotrzebnych dokumentów. Twardowski był pewien, że zrobił duży krok naprzód w swoich poszukiwaniach. Teraz już nie miał najmniejszej wątpliwości, że jego Culmer jest Kolmarem Grzegorza. Jeszcze nie wiedział, jakie białogrzywy mecenas ma wobec niego zamiary, w jakim celu próbuje w nim budzić ambicje polityczne, ale miał pewność, że i o tym rychło się dowie.

Rozdział IX

Twardowski, wybierając się w czwartek po południu do Czarnkowskich, nie myślał ani o Culmerze, ani o swoich poszukiwaniach. Zastanawiał się nad tym, jak

naprawić nietakt względem panny Wandy, którego się dopuścił poprzednim razem, a jednocześnie, jak dziewczynę osądzić, nauczyć trochę skromności i właściwego tonu wobec ludzi poważnych. Trudno wytłumaczyć, dlaczego myśląc o tym, spoglądał często w lustro i mówił sobie, że wygląda za surowo, za staro, i dlatego od czasu do czasu przesuwają mu się przed oczyma boskie linie, amazonki, którą postanowił poskromić.

Tym razem powitał go pan domu, który świeżo powrócił z zagranicy.

Ojciec panny Wandy był pięknym, eleganckim mężczyzną; miał pewnie z pięćdziesiąt kilka lat, ale trzymał się znakomicie. Był na swój wiek bardzo młody zarówno w ruchach, jak w sposobie ubierania się, jak w manierze, estetycznie niedbalej, mającej w sobie coś nieodpowiedzialnego, jak wreszcie dyskretnie agresywnym zachowaniu się wobec kobiet.

Powitał Twardowskiego bardzo uprzejmie, powiedział mu parę komplementów pod adresem jego zmarłego stryja, którego, jak mówił, znał niestety bardzo mało. Wreszcie cieszył się, że w osobie synowca przybywa krajowi człowiek wysokiej kultury i wiedzy. Był swobodny, nie ubierał się w powagę, mówił tak, jakby był jego rówieśnikiem i pokazał mu parę ładnych kobiet w zgromadzonym towarzystwie.

Gdy go ktoś oderwał, Twardowski podszedł do pani domu. Zdołał się z nią wszakże tylko przywitać, gdyż była zajęta rozmową.

Znalazł się znów w otoczeniu panny Wandy, razem z niezbędnym Kozienieckim. Postanowił nie brać udziału w ogólnej ożywionej rozmowie, która toczyła się w jej kółku. Na szczęście mówiono o przedmiocie, który aż za dobrze znał i który miał tę właściwość, że go podniecał do mówienia ludziom rzeczy nieprzyjemnych. Parę z osób obecnych świeżo brało udział w seansie spirytystycznym; wymieniano duchy, które dały się wywołać, i powtarzano, co mówiły. Panie zwłaszcza, a wśród nich panna Wanda, były ogromnie tymi relacjami przejęte...

Twardowskiego cała ta rozmowa irytowała, zwłaszcza irytowało go zachowanie się panny Czarnkowskiej. Panował wszakże nad sobą, nic nie mówił, tylko się uśmiechał ironicznie.

Panna Wanda spoglądała na niego od czasu do czasu, zdawało mu się, że ją niecierpliwie jego milczenie i że go chce sprowokować. Nareszcie odezwała się do niego:

- A pan co myśli o spirytyzmie?
- Zbyt wielki - rzekł - mam respekt dla duchów. ażebym je posądział o to, że chcą się fatygować do pierwszego lepszego saloniku i przed byle kim zwierzać ze swych myśli. Jest to jedna z najzabawniejszych postaci snobizmu twierdzić, że się posiada stosunki z duchami, że się je nawet ma na swoje rozkazy.
- Wiec pan sędzi, że to wszystko blaga?
- Przeważnie blaga, świadoma lub nieświadoma.
- To, co pan mówi, nie jest komplementem dla uczestniczących w seansach.
- Sądzę, że pani nie żąda ode mnie komplementów dla uczestniczących w seansach i sędzę, że pani nie zada ode mnie komplementów, tylko mego zdania. Trzeba dużej i trudno nabywanej dyscypliny umysłowej na to, żeby umieć kontrolować swe wrażenia, żeby ściśle zdawać sobie sprawę z tego, co się widzi i słyszy. Osoby biorące udział w seansach zwykle tych warunków nie posiadają.
- Ale nie będzie pan chyba sądził, że to wszystko blaga, że tam się nic nie dzieje?
- Nie. Zachodzą tam pewne zjawiska nerwowe i psychiczne niedostatecznie dotychczas zbadane. Osoby wszakże, które chodzą po seansach, nie mają żadnych

kwalifikacji do ich badania. Nie posiadają ani wiedzy, ani metody. W tych warunkach jedynym wynikiem jest zniszczenie nerwów i demoralizacja, jeżeli mniemane duchy są zbyt płocze i zuchwale.

Kilku mężczyzn zaczęło się śmiać głośno.

- Z panem trudno rozmawiać - rzekła nadąsana panna Czarnkowska.

- Proszę pani, ja się przypadkiem na tym przedmiocie znam trochę i poważnie on mnie interesuje. Niech więc pani nie żąda ode mnie, ażebym o nim mówił tak, jak mówią szarlatani lub wariaci i naiwni, którzy im wierzą.

- Chciałabym, żeby mi pan kiedyś powiedział, co pan naprawdę o nim myśli.

- Owszem, mógłbym to zrobić w pewnych granicach. Ale to by wymagało sporo czasu, bo musiałaby się pani przedtem niektórych rzeczy nauczyć.

- A jeżeli pana naprawdę poproszę o lekcje?

- To dam, pani lekcje - rzekł, śmiejąc się dobrodusznie.

Zauważył, że tym razem była pokorniejsza i bardzo go to ucieszyło.

Rozmowa o spirytyzmie skończyła się. Po tym dialogu dotychczasowi entuzjaści bali się usta otworzyć. Towarzystwo rozbiło się na grupki.

Panna Wanda przysiadła się do Twardowskiego.

- Wie pan - rzekła - że jeszcze nie widziałam tak nieznośnego, jak pan, człowieka.

- Bardzo się cieszę.

Spojrzała na niego pytająco.

- Bo mnie pani choć tym sposobem wyróżnia.

Zarumieniła się. Pokrywając swoje zmieszanie, zawołała:

- Ho, ho, ho! Taki poważny człowiek i mówi takie płocze rzeczy!

- A kto pani powiedział, że jestem takim poważnym człowiekiem?

- Pan jest taki poważny, że aż mróz od pana wieje.

Twardowski miał minę naprawdę przerażoną.

- To straszne oskarżenie - rzekł - i doprawdy chyba niesłuszne.

- Już dobrze, że się pan broni.

- Przed dwoma tygodniami u siebie na wsi wzięłem rano dubeltówkę i wyszedłem

z psem w pole strzelać zające. Żeby pani wiedziała, jaki ja wtedy byłem niepoważny! Jak mnie nic nie obchodziło, tylko to pole, ten las, to mroźne powietrze, którym się upajałem i ten pies, z którym rozumieliśmy się znakomicie! Mówiłem sobie, że to więcej warte, niż wszystkie poważne rzeczy...

Patrzyła na niego zdziwiona i rozpromieniona.

- A wieczorem tego samego dnia piliśmy z proboszczem i doktorem - bardzo miłymi ludźmi - rozmawialiśmy o winie i o tym podobnych poważnych rzeczach, było nam ogromnie wesoło.

- To pan umie takie rzeczy robić?..

- Okazuje się, że umiem. .

- E, to pan nie taki straszny! Pan jest straszny tylko wtedy, kiedy mi pan wyraźnie mówi, że jestem głupia, jak but.

Twardowski się roześmiał.

- Przesadza pani. Ale niech pani szczerze powie, czy pani naprawdę się uważa za bardzo mądrą?

Zaczerwieniła się.

- Bo wtedy ja bym się pani bał...

- Jeżeli mam pana przerażać, to już wole być głupia.

Twardowski nie ukrywał przyjemności, jaką mu te słowa sprawiły. Dziewczyna wszakże nie dała za wygraną.

- Ale dlaczego mi pan to na każdym kroku mówi? Czyż ja jestem głupsza od innych?..

Twardowski się zastanowił.

- Przede wszystkim tego nie mówię.

- A co?

- Chce tylko pokazać, że mówi pani z wielką pewnością siebie o rzeczach, których pani nie rozumie i nie może zrozumieć.

- A inne nie roba tego samego?

Na razie Twardowski nie mógł znaleźć odpowiedzi. Po chwili zaczął mówić powoli:

- U innych to tak nie razi. Ich to tak nie psuje, mówię w znaczeniu estetycznym. Zresztą, zawzięłem się trochę na panią za to, że pani lekceważąco traktuje mężczyzn.

- Kiedy oni to lubią.

- A ja tego nie lubię.

Wyciągnęła do niego rękę.

- Dziękuję panu, że pan choć chwile poważnie ze mną pogadał. Chciałabym kiedyś dłużej porozmawiać z panem, gdy nie będzie w salonie tylu osób. Teraz nas ze wszystkich stron obserwują. Wprowadź mi to pochlebia, że mnie widzą w tak poważnym towarzystwie, ale mnie to krępuje i odbiera tupet. Przyjdzie pan kiedyś do nas poza tymi urzędowymi czwartkami, prawda?...

- Przyjdę.

Następnego dnia otrzymał zaproszenie na obiad do państwa Czarnkowskich na wtorek przyszłego tygodnia. Nie wątpił, że zawdzięczał je pannie Wandzie. Tegoż dnia zadzwonił do niego Culmer, pytając, czy ma wolny wieczór środowy. Chciałby zgromadzić kilku interesujących ludzi, żeby Twardowskiego z nimi zapoznać.

- Wtorek, środa, - liczył Twardowski - dziś jest piątek. Cztery dni czasu – jadę do Turowa.

Kazał zatelefonować do domu po samochód i na wieczorny obiad był już w Turowie.

Grzegorz powitał go uradowany. Widać było, iż oczekuje, że pan mu coś powie. Zauważył, że pan jest jakiś ożywiony, ale nic nie mówi. Twardowski po obiedzie poszedł prosto na górę, zamknął się u siebie i czytał.

Lektura Twardowskiego tym razem nie była poważną. Czytał jakąś nową powieść polską. Nie imponowała mu swą wartością, ale czytał z wielkim zainteresowaniem- odkrywał świat nieznan.

Bohaterkę powieści porównywał z Wandą Czarnkowską która na tym porównaniu ogromnie wygrywała. Doszedł do przekonania, że wszystko, co go w niej raziło, pochodzi ze środowiska, a nie z niej samej. Dziwił się nawet, że to środowisko więcej jej nie zepsuło... I uznał to za jej zasługę.

Od czasu do czasu odkładał książkę i chodził po pokoju lub rozmawiał z Piorunem, którego mu Grzegorz przyprowadził.

Zaczyta ł się do późnej nocy i poszedł spać z myślami nie o przeczytanej powieści ale o pannie Czarnkowskiej.

Wczesnie rano był już w polu z dubeltówką, poprzedzany przez uradowanego Wygę. Czuł się lekki na ciele i umyśle -zdawało mu się, że wyrastają mu skrzydła. Włóczył się, niewiele strzelając, prawie do południa.

Po południu postanowił odwiedzić proboszcza. Tym razem poszedł do niego piechotą, opanowany jakąś niepowstrzymana potrzebą ruchu.

Ksiądz przywitał go z miłym zdziwieniem:

- Nie wiedziałem, że jest pan w Turowie.
- Wpadłem na parę dni wczoraj wieczorem.

Ksiądz mu się przyglądał uśmiechnięty.

- Co się stało? - zapytał.
- Nic. Przyjechałem, bo miałem parę dni wolnych.
- Nie o to chodzi. Pytam, co się stało z panem. W panu zaszła jakąś zmiana.
- Widzę, że ksiądz mi odbiera chleb, jest lepszym psychologiem, niż ja. Bo ja w sobie żadnej zmiany nie widzę.

- Panie, pan się zmienił nawet fizycznie. Cofam to, co owego wieczoru przy butelce powiedziałem. Zrobił się pan jakiś lekki, twarz nabrała życia, widać krew pod skórą i w oczach coś się świeci, ale raczej jak winowajca, który coś zbroił.

Twardowski zaczął się śmiać.

- Przysięgam, że nic nie zbroiłem. Tylko od rana spędzam czas na świeżym powietrzu, włócząc się po polu i lesie. Ot i do księdza przyszedłem piechotą.

Ksiądz kręcił głową - widocznie to tłumaczenie mu nie wystarczało.

- Dobrze to wszystko - rzekł Twardowski - ale gdzież ta kawa? Ja tu przyszedłem na kawę.

Ksiądz wypadł z pokoju jak z procy. Twardowski tymczasem na próżno rozglądał się za lustrem, chcąc sprawdzić trafność jego spostrzeżeń.

- Za chwilę kawa będzie - rzekł ksiądz, wracając. - Tak mnie pan spiorunował swoim wyglądem, że zapomniałem o obowiązkach gospodarza. Bardzo to zacnie z pańskiej strony, że pan przyszedł do starego klechy. Siadajmy i pogadajmy.

Twardowski stwierdził, że ksiądz prowadzi dalej swa politykę: gada dużo, ażeby gościowi nie pozostawić czasu na zadawanie pytań.

- Doprawdy z panem cud się dzieje - ciągle mówił ksiądz. - To zetknięcie z Polską tak na pana działa: tam na obczyźnie, był pan rośliną, którą z korzeniami wyrwano z ziemi. Jest pan jak Anteusz, który przypadając do ziemi, nowych sił nabiera. A może?...

- Co może?...

- Może pan spotkał jakieś polskie dziewczę?... Przecież to w pańskim wieku byłoby całkiem naturalne. I dalby Bóg, to by pana już ostatecznie przywiązało do Polski.

- Spojrzał i trup, jak w powieści, co?

- No nie, tego nie mówię. Ale tak zainteresował się... trochę... Przecież pan chyba

nie jest obojętny na wdzięki kobiece?..

- Chce ksiądz, żebym mu powiedział co myślę?...Ksiądz się boi, żebym go nie indagował co do przeszłości stryja i dlatego wyszukuje coś na mnie. Najlepszą obroną jest atak, jak mówią Niemcy.

Ksiądz spoważniał.

- Niech się ksiądz nie boi. Mam wielką dla księdza przyjaźń i wierzę w jego przyjaźń. Wiem, że mi ksiądz powie wszystko, co może powiedzieć i więcej już pytać nie będę.

Ksiądz w milczeniu wyciągnął do niego rękę i uścisnęli sobie dłonie.

- Ze swej strony księdzu powiem, że prowadzę dochodzenia w Warszawie, i zdaje mi się, że jestem na dobrej drodze. Mam nadzieje, że wkrótce będę mógł księdzu opowiedzieć bardzo interesujące i bardzo poważne rzeczy.

Pożegnali się serdecznie. Ksiądz chciał go odesłać swoimi końmi, ale Twardowski uparł się wracać piechotą. Jeszcze nie zaspokoił swej potrzeby ruchu.

W drodze do Turowa zapytywał siebie, skąd księdzu przyszło do głowy wmawiać w niego, że go zajmuje jakaś dziewczyna. Jedyną młodą kobietą, którą bliżej poznał, to była panna Czarnkowska. Prawda, że go trochę zainteresowała, ale raczej w ujemnym sensie - nie fizycznie, bo jest ładna, a gdy chodzi o linie ciała, wyjątkowo piękna. Niewątpliwie, nie jest taka zła, jak się z początku wydawała - jest coraz sympatyczniejsza. Można ją lubić i można się nią interesować. Ale śmieszne jest twierdzić, że to zainteresowanie czyta się na jego twarzy.

Zacny ksiądz, *mais c'est un farceur!*...

Przez tę parę dni żył w polu i w lesie. We wtorek przed wieczorem wrócił do Warszawy.

Za godzinę miał być u Czarnkowskich na obiedzie. Zgodnie z poleceniem, które wydał na wyjeździe, kąpiel czekała i wszystko do przebrania było przygotowane.

Twardowski nigdy wiele nie myślał o swojej powierzchowności, ale ubierał się dobrze. Renta od stryja pozwalała mu na to, lubił wszystko w najlepszym gatunku, nie nosił lichoty i partactwa, między innymi źle skrojonego ubrania. Toteż, nie mając wcale świadomości tego, był elegantem nie dbającym o elegancję, a więc w najlepszym stylu.

Tym razem myślał o tym, jak będzie wyglądał. Był bardzo zadowolony, że ma nowy, sprawiony na jesieni frak, który znakomicie leży. Przeglądał się długo w lustrze i doszedł do przekonania, że parę dni, spędzonych na wsi, nieustannie na powietrzu, ogromnie poprawiło jego wygląd. Był o wiele młodszy, lżejszy, swobodniejszy. Przypomniawszy sobie co mu proboszcz powiedział... Może nie tylko ksiądz jest zdolny to zauważyć...

U Czarnkowskich było kilkanaście osób, między innymi i Culmer, koło którego chodzono z ogromną atencją. Culmer był stale uśmiechnięty i mówił paniom przyjemne rzeczy tonem, świadczącym, że łaskawie poświęca dla nich coś ze swej powagi. Kozienickiego, ani w ogóle młodzieży tym razem nie było. Najmłodszym wśród mężczyzn był Twardowski.

Jedną z ostatnich zjawiała się w salonie panna Czarnkowska. Długo się widać ubierała, ale ze skutkiem. Wyglądała nadzwyczajnie.

Wsunęła się do salonu z pozorną skromnością, przywitała się najpierw ze starszym towarzystwem, w końcu stanęła przed Twardowskim. Wyciągnęła do niego rękę, spuściwszy oczy, jakby się wstydziła swego pysznego dekoltu, ale widocznie chciała mu dać czas na jego podziwianie z bliska, bo nie ruszała się z miejsca...

Twardowski uczuł potrzebę powiedzenia jej czegoś przyjemnego.

- Mój proboszcz - rzekł - który się uważa za fizjonomistę, w tych dniach mi powiedział, że jestem pod wrażeniem jakiejś kobiety. W tej chwili zaczynam temu wierzyć.

- Widzę, że pan chce sobie poprawić reputację - odparła z udaną powagą i poszła dalej.

Kiedy służba roznosiła wódki i zakąski, zbliżył się do Twardowskiego hrabia Opoczyński.

- Byłem świeżo - rzekł - na ślubie mej kuzynki w Rzymie. Widziałem się tam z młodym Gravosą, który jak wielu Włochów, jest zapalonym alpinistą. Opowiadał mi, że wspinając się zeszłego lata na Monte Rosa, spotkał się z Polakiem Twardowskim...

- Pamiętam - odrzekł Twardowski. - Brał on udział w wycieczce profesora Rossięgo.

- Wiec to o panu była mowa? Chciałem właśnie zapytać, czy to nie ktoś z pańskich krewnych. Ależ w takim razie pan jest znakomitym człowiekiem. Gravosa mi mówił, że Rossi był zachwycony spotkaniem pana, że już przedtem wiele o panu słyszał. Jakże się żona moja ucieszy, gdy się o tym dowie. Chodźmy do niej.

Wziął go pod rękę i podprowadził do swej żony, która rozmawiała w tej chwili z panną Wandą.

- Marysiu! - zawołał - mówiłaś w Rzymie, że bardzo byś pragnęła poznać pana Twardowskiego: tego zdobywcę szczytów alpejskich, o których opowiadał Gravosa. Oto go masz we własnej osobie.

- Jakże jestem szczęśliwa! - zawołała hrabina, wyciągając rękę do Twardowskiego. - Imponuje mi dzielność i szukanie niebezpieczeństwa; a tak mało jest mężczyzn, w których się to widzi.

Panna Czarnkowska podniosła zdumione oczy.

- Chodzenie po górach - tłumaczył Twardowski - jest jedną z najmilszych rozrywek, w szczególności dla mnie, który się wśród gór wychowałem. W miarę ćwiczenia wspina się człowiek coraz wyżej i to jest wielka rozkosz. W ogóle - zaśmiał się - lubimy się wspinać coraz wyżej. To nie jest takie niebezpieczne.

- Ależ panie. - wtrącił Opoczyński - ci Włosi opowiadali, że pan bierze najtrudniejsze szczyty, i cytowali kogoś, komu pan ocalił życie z narażeniem własnego...

Drzwi do pokoju jadalnego otwarto i zawiadomiono, że obiad podany.

- Musi nas pan odwiedzić - rzuciła hrabina - i opowiedzieć nam o swoich alpejskich przygodach.

Twardowski się skłonił. Miał polecone prowadzić do stołu pannę Wandę, więc podał jej ramię. Szła z nim, nic nie mówiąc.

Gdy usiedli kolo siebie, zwróciła się do niego:

- Pan jest *une boite a surprise*. Teraz znów człowiek się dowiaduje, że pan jest bohaterem alpejskim.

- Jak to pani górnolotnie nazywa...

- Jestem w strachu na myśl czego się mogę jutro dowiedzieć...

- Sadzi pani, że może to być cos strasznego?...

- Już teraz mi pan niesłychanie imponuje. Gdy jeszcze coś nowego usłyszę, nie będę śmiała podnieść oczu na pana. Ale naprawdę to musi być cudowna rzecz znaleźć się na szczycie ponad chmurami, daleko od tej ziemi, na której ludzie mieszkają... Czy pan sądzi, że ze mnie mogłaby być alpinistka?

- Znakomita. Osoba tak Ślicznie zbudowana musi być silna i zręczna.

Zarumieniła się uszczęśliwiona.

- Jak to przyjemnie z pańskich ust usłyszeć coś pochlebnego! Poszłabym w góry pod pańską komendą; tylko pan strasznie by mnie tyranizował...

- Czy pani naprawdę tak myśli?...

Uderzona dziwnie miękkim tonem jego głosu popatrzyła mu długo w oczy.

- Wie pan, że pan teraz jest jakiś inny, niż pan był...

- Może mój proboszcz miał słuszność...

Znów się zarumieniła i na długo zamilkła.

Gdy towarzystwo przeszło do salonu na czarną kawę Twardowski stał się na chwilę przedmiotem ogólnego zainteresowania. Opoczyński opowiedział o jego sławie alpinisty swoim sąsiadom przy stole, a żona jego swoim sąsiadom; ci zaś puścili to dalej.

Twardowskiemu na razie wydawało się, że w Polsce tak wielce interesują się ludzie tym szlachetnym sportem. Niebawem wszakże spostrzegł, iż towarzystwu wcale nie chodzi o to, co on tam w Alpach robił, tylko o tym, że o nim mówią zagranicą, w Rzymie, podobno nawet w Paryżu i Londynie.

Ta rozmowa o nim zaczęła go dobrze nudzić. gdy spostrzegł, że panna Wanda podeszła do etażerki w przeciwnym rogu salonu, wzięła z niej elegancko oprawną książkę i, otwartą ją, szła prosto ku niemu. Wstał z krzeselka i zrobił kilka kroków na jej spotkanie.

- To tylko wybieg - rzekła po cichu - by pana uwolnić od rozmowy, która, widzę to dobrze, nudzi pana. Nie mam wcale zamiaru zawracać panu głowy poezją, która pana nie interesuje.

- Przeciwnie, interesuje mnie i dużo jej czytałem.

- Znów niespodzianka. Pan taki suchy. uczony...

- Ani taki uczony, ani taki suchy. Co to pani ma w ręku?

- Powiadam panu, że to tylko wybieg. Niech pan tu usiądzie ze mną, to panu coś powiem.

Usiedli na uboczu.

- Myślałam dużo o tym, co mi pan ostatnim razem powiedział.

- Co ja pani powiedziałem?

- Że ja lekceważąco traktuję mężczyzn.

- To prawda.

- I że ja jestem smarkata, która się mądrzy.

- To było trochę inaczej.

- Mniejsza o to - sens był ten. Otóż po zastanowieniu doszłam do przekonania, że to nie moja wina.

- A czyja?

- Mężczyzn.

- Jakimże to sposobem?

- Nas młode dziewczyny, nieraz oskarżają, że jesteśmy za mało kobietami.

Może to i prawda. Ale jeżeli tak jest, to dlatego, że mężczyźni są za mało mężczyznami.

- Jak to pani ładnie powiedziała.

- Mówi pan, jak Kozieniecki.

- Kozieniecki jest bardzo inteligentnym człowiekiem.

- Nie. On się zachwyca moja inteligencją. a wiec jest głupi.

Wobec tego nieodpartego argumentu Twardowski parsknął miechem.

- A jeżeli mówi to nieszczere i świadomie przewraca w głowie młodej dziewczynie, składa dowód, że nie ma charakteru. A to jest rzecz jeszcze gorsza.

- To mu się dostało!

- Powiem panu więcej. Widzę ze wszystkiego, że on ma zamiar oświadczyć się o mnie. Jeszcze niedawno może bym go przyjęła, ale teraz... niech sobie idzie na spacer. Wole zostać starą panną. Doszłam do wniosku, że kobieta może naprawdę kochać tylko takiego mężczyznę. który jej imponuje, który jest od niej mądrzejszy i silniejszy, który ma charakter.

Twardowski milczał i patrzył na dziewczynę zachwycony. Myślał sobie, że ma ona więcej sensu w głowie niż mu się zdawało.

- Mam wrażenie, że się panu podoba to, co mówię. Tylko niech mi pan nie powie jakiego komplementu, bo panu z tym nie do twarzy. Wtedy panu znów powiem, że zachowuje się pan jak Kozieniecki.

Tyle miałam panu do powiedzenia. Teraz uciekam, bo będą mieli do mnie pretensje, że pana zabrałam na cały wieczór.

Twardowski wrócił do reszty towarzystwa. Właśnie mecenas Celmer się zegnał; człowiek poważny, mający tyle rzeczy na głowie, wcześniej udaje się na spoczynek.

Przechodząc koło Twardowskiego podał mu rękę i rzekł półgłosem:

- Spotkamy się jutro wieczorem. prawda?
- Ogromnie mądry człowiek – rzekł do niego Czarnkowski po wyjściu Culmera.
- Mądrzejszy niż ludzie myślą - odrzekł Twardowski.

Gdy się zegnał tego wieczoru z panią Czarnkowską uśmiechnęła się do niego mile i powiedziała mu: .

- Najwidoczniej klimat polski panu służy. Bardzo się pan zmienił na korzyść - dobrze pan wygląda. Ale widzę, że Wandeczka wytrwale wykonuje swój program. Ciągłe mi mówi, że się musi z panem wyklócić.

- Zdaje się - odparł - że w tej kłótni będę pobity.

Źródło: <http://www.endecja.pl>